Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT NR 34 (1770) 23–29 sierpnia 2024

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Czytelnicy i Czytelniczki! Osoby Czytelnickie! Czytelniczątka!

Mamy za sobą 20 gównianych miesięcy. Najpierw zmarł Urban, rok po nim Gośka Daniszewska, dwa miesiące temu rak zeżarł nam Waldka Kuchannego. Dalsze wydawanie „NIE" można wytłumaczyć jedynie pijackim uporem – ale nigdy przecież nie mieliśmy trzeźwości w najwyższej estymie.

Będziemy szydzić z rzeczy poważnych i weselić się ze smutnych. Świętości nieszargane umierają z nudów. Pospieszmy je ratować – pisał Urban w pierwszym numerze „NIE" 4 października 1990 roku. Od tego czasu wiele się zmieniło, a świętości, które Łysy obiecywał szargać, w znacznej mierze powymierały, choć niekoniecznie z nudów. Autorytet Kościoła kat. szlag trafił wraz z nietykalnością papieża Polaka, neoliberalne dogmaty piewców nowego ustroju trafiły na śmietnik nauk ekonomicznych, gdzie ich miejsce. Zawsze jednak znajdą się nowe świętości do szargania. Nie ustajemy w poszukiwaniach.

Jesteśmy i będziemy na nie. Będziemy wisieć u gardła każdej władzy i czepiać się każdego skurwysyna, bez dzielenia na swoich i obcych. Bez cenzury i autocenzury. Nie jesteśmy od nikogo zależni, więc wszyscy mogą nam skoczyć. Z wyjątkiem Was.

Tygodnik „NIE" od początku swojego istnienia jest wolny od reklam. Kupując „NIE", kupujecie teksty naszych autorów i rysunki naszych grafików, a nie tonę makulatury z kolorowymi zdjęciami rzeczy, których nie potrzebujecie. Nie mamy – i nigdy nie mieliśmy – reklam ani ogłoszeń spółek skarbu państwa, których ceną jest pokora wobec władzy. Czytelnicy są jedynym naszym pracodawcą i tylko Wam jesteśmy winni swoją lojalność.

Ta niezależność ma swoją cenę: jesteśmy jedynym na rynku ogólnopolskim tygodnikiem, który żyje wyłącznie ze sprzedaży egzemplarzy. Żaden łaskawca ze sfer rządowych, samorządowych czy biznesowych nie sypnie nam kasą, jeśli powinie nam się noga.

Dlatego apelujemy: kupujcie, czytajcie, polecajcie. Szwagrowi zawińcie w „NIE" flaszkę na imieniny, żonie – kwiatek na 8 marca. Podrzucajcie „NIE" bigotom, żeby ich wkurwić, i komuchom, żeby ich podnieść na duchu.

I piszcie do nas: co o nas myślicie, co Was drażni, czego Wam brakuje, a nawet, co Wam się podoba. Piszcie na Facebooku, na X, piszcie maile i listy.

Jesteśmy dla Was, a bez Was nas nie będzie.

Pomożecie?

Wasz nowy rednacz Wołk

Czy TY kupiłeś już nowe „NIE"?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223409 34

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl f1d56f4ada

WOJNA DOMOWA

W Warszawie była burza. Spadło 120 litrów wody na metr kwadratowy (to jest w chuj, jakby kto się zastanawiał) i zatopiło trasę S8, którą wjeżdża się na Żoliborz od strony Białegostoku. W kilku innych miejscach samochody zalało po dach. Rok temu podczas podobnej sytuacji ówczesny wojewoda mazowiecki Tobiasz Bocheński oskarżał miejskie wodociągi: *Przyczyną zalania drogi S8 nie jest infrastruktura drogowa podległa rządowi, a zapchanie infrastruktury miejskiej odbierającej wody opadowe*. Wtedy Trzaskowski tłumaczył, że S8 to nie jego droga, ale teraz było zupełnie inaczej: *To nie jest droga miejska, natomiast jesteśmy gotowi do współpracy* – orzekł prezydent stolicy i dodał, że *nie będzie przerzucania odpowiedzialności.* Ekolodzy od lat mówią, że jak się buduje infrastrukturę, niszcząc przyrodę i ignorując naukę, to skutki bywają niewesołe, ale kto by się świrami przejmował.

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

„Wall Street Journal" napisał, że w 2022 r. gazociąg Nord Stream wysadzili Ukraińcy za zgodą Polski, a konkretnie Dudy. Tusk zareagował ciętą ripostą. *Do wszystkich inicjatorów i mocodawców Nord Stream 1 i 2. Jedyne co powinniście dzisiaj zrobić, to przeprosić i siedzieć cicho* – napisał na kanale dyplomatycznym znanym szerzej jako platforma X, co sugeruje, że jednak będzie kandydował na prezydenta i rozpoczyna kampanię adresowaną do zwolenników PiS: nie dość, że broni Dudy, to jeszcze stawia się Niemcom, czyli już nie jest *für Deutschland*. Naszym skromnym zdaniem, „WSJ" może mieć trochę racji: wysadzenie gazociągu, które wypierdoliło w kosmos ilość paliwa uznaną za największe odnotowane w historii uwolnienie gazu ziemnego, było tak kozackie, głupie i infantylne, że zarówno Polacy jak i Ukraińcy musieli mieć z tym coś wspólnego.

Minister sportu Sławomir Nitras poinformował o pieczeniarstwie na olimpiadzie. Warto wiedzieć, że szef PKOl Radosław Piesiewicz jest kolegą Sasina, który załatwił starej Piesiewiczowej robotę za bańkę w Pekao SA. Teraz Nitras donosi, że w oficjalnej delegacji na koszt państwa pojechali do Paryża prezesi 13 związków, które nie zakwalifikowały ani jednego zawodnika do igrzysk; i sporo z nich miało przy sobie osoby towarzyszące szerzej znane jako dupy. Oburzenie ministra Nitrasa jest w pełni zrozumiałe, natomiast nieco nas zaskoczył wstęp jego monologu, gdzie usłyszeliśmy, że *Polska nie ma się czego wstydzić*, ponieważ *naprawdę dużo pieniędzy przeznaczamy na sport wyczynowy* w porównaniu z *nakładami, które nakładają inne najbardziej rozwinięte kraje świata*. Tak nam się widzi, że w kraju, gdzie na wizytę u endokrynologa czeka się 23 miesiące, *dużo pieniędzy na sport wyczynowy* jest właśnie powodem do wstydu.

Trwa wojna o łączenie klas religii w szkołach, które zapowiedziała ministra Nowacka. Stowarzyszenie Katechetów Świeckich domaga się interwencji prezydenta albowiem *zbyt liczne grupy uniemożliwią realizację podstawy programowej i utrudnią dzieciom naukę religii*. Tak dokładnie, to grupy z klas I–III mają mieć maksymalnie 25 osób, starszych zaś – 28, co dla nikogo z wyżu demograficznego nie jest niczym szokującym – ale ważniejsze jest pytanie, czy *utrudnianie dzieciom nauki religii* to naprawdę coś złego. Stowarzyszenie nie odpowiada, bo tak naprawdę chodzi o co innego: zmiana *dla nauczycieli religii oznacza nagłą utratę środków do życia*, ponieważ *nastąpi znaczna redukcja etatów nauczycieli religii*. No. I może sobie jakąś uczciwą robotę znajdą.

Toczy się także wojna o składkę zdrowotną. O powrót do sprawiedliwej sytuacji, kiedy prezes na kontrakcie menedżerskim za sto koła płacił jedną trzecią tego, co pielęgniarka na etacie, twardo upomina się Trzecia Droga. *Składka zdrowotna nie leczy niczyjego zdrowia, ona zabija polskie firmy* – orzekł marszałek Hołownia, który niekoniecznie musi rozumieć skomplikowane tajniki budżetowe, jest wszak z wykształcenia prawie psychologiem. Precyzyjniejszy był Ryszard Petru, ekonomista, także poseł Polski 2050: *Pojawią się zarzuty, że dużo na tej obniżce zyskają dobrze zarabiający. No tak, ale przecież to im Polski Ład najwięcej zabrał*. Szczerość p. Petru wprawiła w zakłopotanie jego koleżankę partyjną. *Nie, to nie jest nasz kierunek, być może tu się wkradła jakaś… jakaś… znaczy… być może pan Ryszard Petru nie do końca jakby naszą intencję oddał* – wyjaśniła precyzyjnie ministra Mucha.

Bartłomiej Ciążyński, wiceminister sprawiedliwości z ramienia Lewicy, podał się do dymisji, albowiem okazało się, że pojechał na urlop do Słowenii służbowym samochodem, który zatankował ze służbowej karty. *Popełniłem błąd, nie miałem świadomości, że nie mogę tego uczynić* – tłumaczył Ciążyński, z zawodu radca prawny, który przez 12 lat prowadził własną kancelarię. *To są te standardy, które obowiązują wszystkich* – dodał Włodzimierz Czarzasty, który wystąpił z Ciążyńskim na pokutnej konferencji prasowej. A konkretnie to jakie: głupota czy bezczelność?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kwiecień – maj 2012 r.

Świętej Zyty

Kaczyński ma poparcie 25 proc. społeczeństwa, 75 proc. episkopatu, 90 proc. ojca Rydzyka (10 proc. mnicha zachowuje Ziobro) oraz 100 proc. redaktora Semki, którego masa rośnie o 5 kg, tj. 2,5 proc. miesięcznie. Wspierają też Jarosława dwa mocarstwa – Węgry i Gruzja. Wszyscy optymiści pocieszają się, że ma szklany sufit nad sobą, pesymiści są jednak zdania, że rozpoczął politykę uliczną i ulica da mu władzę, kiedy tylko państwo zacznie się rozlatywać. Jak Republika Weimarska – rozpacza prof. Ireneusz Krzemiński. Pan kanclerz Adolf Hitler, którego dobrze pamiętam, górował nad Kaczyńskim tym, że miał zdolności koalicyjne. Bez nich do dziś chodziłby po ulicach.

Świętej Walerii

Najwspanialsze polskie tradycje topi się w gównie. Prastary warszawski klub studencki Hybrydy zawsze był świątynią wolnej miłości. Pokolenia studentek traciły tam dziewictwo, a ich rozrywanymi w klubie błonami dziewiczymi można by wytapetować ściany. 26 kwietnia w tych to Hybrydach odbył się wieczór propagandowy wierności małżeńskiej. Wokalistka Frąckowiak wykonała utwór „Wierność jest cudna", a jej widok upewnił, że nie ma innego wyjścia. Skoro tak, to my teraz w stołecznej katedrze św. Jana urządzimy orgię satanistów na podściółce z wyskrobanych płodów.

Świętego Borysa

Kilka teorii spiskowych szlag trafił. Rozwiązanie zagadki zastrzelenia generała Papały oczyszcza wielu moich znajomych. Samego generała, którego pamiętam jako grzecznego człowieka – z podejrzeń o handel narkotykami, związki z bandziorami, a nawet z kobietami. Śp. Baraninę podejrzanego o zlecenie morderstwa Papały. Z kochanką Baraniny biesiadował b.p. Janusz Atlas, mój kolega i kochanek mojej żony. Czysty okazuje się też Mazur, biznesmen nieoddany Polsce przez Amerykę, która nie wierzyła, że kazał on zabić Papałę. Mazur to były dobry kumpel moich byłych dobrych kumpli z SLD. Wreszcie niewinny okazał się gangster Słowik, dżentelmen, z którym miałem zaszczyt zjeść kolację. W jej trakcie namawiał on moją żonę Daniszewską nie do jakiegoś zabójstwa, tylko raczej samobójstwa, czyli wspólnego inwestowania w nieruchomości w stołecznej dzielnicy Saska Kępa.

Prokuratura nie podaje na razie, dlaczego złodzieje samochodów, zamiast ukraść lub nie ukraść auta Papały, zastrzelili generała. Mam na ten temat własną hipotezę. Papała musiał ich postraszyć rewolwerem. Niektórzy generałowie policji mają bowiem broń.

W latach 1984–1989 miałem ochronę BOR, a już wcześniej pistolet. Pierwsze, czego ochrona zażądała, to tego żebym zamknął broń w kasie pancernej i nigdy jej nie wyjmował, bo jak ktoś ją zobaczy, to mi ją odbierze i może mnie zastrzelić. Generałów nie wypada tak ostrzegać. W Polsce wielokrotnie częściej giną ludzie uzbrojeni niż bezbronni. W Ameryce jest więcej broni palnej niż ludzi i dlatego wciąż jest to państwo imigrantów.

Obsrany jak miejski trawnik Zbigniew Ziobro tłumaczył, że Mazura, Słowika itp. wskazano jako zabójców Papały za rządów SLD, a nie PiS. Telewizja zaraz pokazała go, jak będąc ministrem, mówił, że zbrodnia ta obciąża lewicę. Czyli zbrodnicza lewica jest taka uczciwa, że gdy miała władzę, sama siebie oskarżała o zbrodnie. I to niepopełnione. Miller nie zna różnicy między zerem a zerem absolutnym.

Świętej Walerii

Z początkiem maja na Korsykę leciała wzrastająca w przesiadkowej Nicei liczba psów i dzieci. Trzy psy polskie z obrzydzeniem i strachem reagowały na wrzaski bachorów francuskich, bardziej piskliwe niż krzyki zabrane z Warszawy. Bardzo małe dzieci głośno ryczą, wyrażając ból istnienia. Starsze, przeciwnie, wydzierają się, odczuwając radość życia.

Kiedy kler utraci wpływ na sejmowych ustawodawców i będzie można uchwalić swobodę usuwania ciąży, proponować będę, żeby aborcje obejmowały bachory do lat pięciu. Szczególnie krzykliwe wolno byłoby usuwać do 10 lat.

Marksistowska wizja zwyciężyła w regionach turystycznych całego świata. Byczący się przybysze dzielą się na klasy, a nie na narody. Niegdyś mówiło się, że tu i tu przyjeżdżają Niemcy albo Szwedzi czy Amerykanie, że teraz pełno Rosjan, a pojawią się też Polacy. Dziś narodowości nikt nie stara się rozróżnić, nie ma ona znaczenia. Pan skąd? – to zwrot grzecznościowy, a nie ciekawość. Turyści stanowią internacjonalną mielonkę, a różnicuje ich tylko kasa. Przy tym bogaci i biedni tworzą jedno społeczeństwo bezklasowe, tj. pozbawione klasy.

Wieczorem psy kontynentalne wybiegają na plażę sadzić kupy, rano Korsykanie wybiegają na plażę sprzątać kupy. Psy nie troszczą się o to, żeby swoich kupozbieraczy szczepić na wściekliznę.

Świętego Józefa robola

Daniszewska (żona) pokazała Korsykaninowi zęby. Sytuacja ta była dramatyczna. Jechaliśmy nocą taksówką (wciąż Korsyka) szosą górską krętą jak odpowiedź Ziobry na pytania TVN. Daniszewska tłumaczyła taksówkarzowi, że ma rano kupić dwie szczoteczki do zębów i przywieźć nam do hotelu. On nie rozumiał, o co chodzi, ona nie zna dialektu korsykańskiego, niezależnie od tego, jakiego języka jest on wypaczeniem. Przeszła więc na język migowy. Z tylnego siedzenia szarpnęła kierowcę za ramię, on się obejrzał, ona pokazała mu zęby i ruch palca po uzębieniu, on się przeraził, a że wciąż odwrócony, wysilał umysł, patrząc na zęby, to wjechał w krzaki zwane tu *maquis*.

Wyobrażam sobie, jak chłopak wraca, dygocąc budzi żonę i opowiada: wiozłem wariatkę, szarpnęła mnie za ramię i pokazywała zęby. Wjechałem w krzaki – dobrze, że tam nie było przepaści. Na koniec dała mi 100 euro, chociaż licznik wybił 12, nie wzięła reszty i czegoś chciała. Cóż to mogło być, *mon Dieu*?

Świętej Prudencji

Śniło mi się, że jestem tak stary, iż nie mogę pić. Czy naleję sobie wody, czy wódki, odwracam szklankę do góry dnem i wylewam płyn na podłogę. Widzę, że moi rodzice z troską szepczą ze sobą. Podejrzewam, że omawiają plan pogrzebu jedynaka. Na jawie – dzień wyborów prezydenta Francji. Żadnych objawów zainteresowania na Korsyce. Nasz taksówkarz-woziciel wrzuci głos nieważny, gdyż jest człowiekiem nieważnym. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- Do prowadzących „Dzień dobry TVN" dołączy **Adam Małysz**. To będzie odskocznia od dziennikarstwa.
- **Para prezydencka** na początek roku szkolnego obdaruje plecakami szkolnymi również dzieci z Burundi. Do narysowania cioci z Tutsi i wujka z Hutu potrzeba będzie czerwonych kredek.
- **Krystyna Pawłowicz** stwierdziła, że gdyby Giertych był podobny do niej, byłby miły. Na głowie kwietny miał wianek, w ręku zielony badylek…
- **Jacek Sasin** powiedział, że dziś ryby w Odrze zdychają z uśmiechem. Do tego wszystkie wyskrobane.
- **Zbigniew Ziobro** zapewnił, że rzekome bogactwa Rydzyka to kłamliwe fejki łżemediów. Czy na logikę kłamliwe fejki to nie jest święta prawda?

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

eprasa.pl f1d56f4ada

GADMAN

Patron, Prezes, Nadzieja

Aby zostać w Polsce prezydentem trzeba być przystojnym i niekonfliktowym.

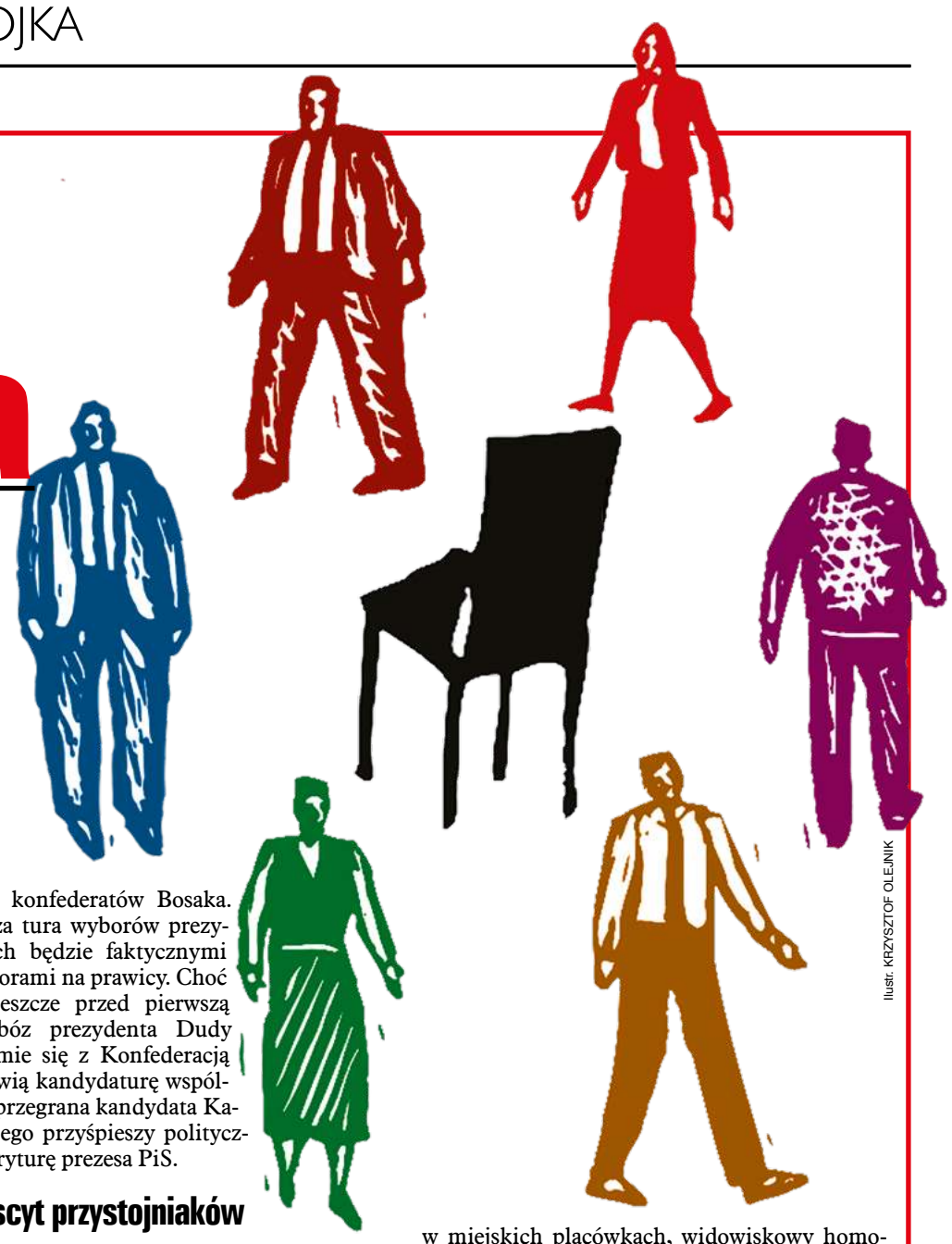

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Uczcie się od Krzysia Bosaka. Kiedy marszałek Hołownia zarządził wakacje parlamentarne i brać parlamentarna ruszyła na zasłużony odpoczynek, on ogłosił swój plan prawyborów. Kandydata polskiej prawicy w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Chce, aby fani Zjednoczonej Prawicy, Konfederacji i prezydenta Dudy najpierw wybrali wspólnego kandydata. A potem zrobili mu megakampanię i powtórzyli sukces Andrzeja Dudy.

Bosak ogłosił swój plan, kiedy polskie życie polityczne zamarło. Spragnione jakiegokolwiek wydarzenia krajowe media napompowały plan Bosaka do rangi historycznego przełomu. Pobudziły otumaniony upałami medialny komentariat, skrzętnie publikowały kolejne komentarze do komentarzy i kolejne fale komentarzy do poprzednich komentarzy. A polska polityka komentarzami stoi.

Umarł Krzyś, niech żyje Bosak!

Nieważne było, że pomysł Krzysia Bosaka jest nierealny. Polska polityka to festiwale nierealnych propozycji i licytacje niemożliwych do spełnienia obietnic. Nieważna jest merytoryczna wartość obwieszczanych wyborcom propozycji. Ważne, aby media je komentowały i wyborcy coś o nich usłyszeli. Aby potem w głowach im zostało, że ten dziecinnie wyglądający – niczym redaktor Babiarz z telewizji – poseł Bosak nie jest byle Krzysiem, lecz mężem stanu pełną gębą. Wzywającym do współpracy i zgody samego prezesa Kaczyńskiego. A Polacy patrioci, oprócz słodkich politycznych obietnic, zgodę, zgodę ponad wszystko kochają. Zgoda, zgoda, a Bóg wtedy rękę poda!

Lansując ideę prawyborów prezydenckich, poseł Bosak kilka pieczeni politycznych też sobie upiekł. Proponując kandydaturę Sławomira Mentzena z Konfederacji, upowszechnianą potem i niekwestionowaną przez wszystkie krajowe media, pasował lidera Konfederacji na potencjalnego lidera całej polskiej prawicy. Przy okazji utrącił ewentualną kandydaturę konfederaty Grzegorza Brauna, która byłaby dla Konfederacji politycznym obciążeniem, bo ograniczałaby jej przyszłe zdolności do zawierania koalicji. No i pokazał wszystkim, że wyrósł już z wizerunku politycznego cudownego dziecka polskiej prawicy. Bo wcześniej ożenił się z kobietą, jak na ideowego narodowca przystało, został wicemarszałkiem Sejmu RP, a teraz pasowano go na jednego z rozgrywających na polskiej prawicy.

Tak to umarł poseł Krzyś, a narodził się pan lider Krzysztof Bosak.

Jak zabić prezesa

Prawyborów prezydenckich w polskiej prawicy oczywiście nie będzie. Dopóki Zjednoczoną Prawicą rządzi prezes Kaczyński, to nie da zgody na takie fanaberie. Nie ma mowy, aby jakieś szczyle z Konfederacji wtrącały mu się do jego partii, kwestionowały jego wybór.

Poza tym, nie ma na to czasu, bo teraz rozgrywa najbliższy wrześniowy kongres PiS. Ten będzie miał kolosalne znaczenie. Prezes Kaczyński robi wszystko, aby zapewnić sobie dalszą kontrolę nad partią. Działa po startemu. Pozbywa się starych działaczy, których uznał za balast. Wyniesie nową elitę złożoną z młodszych, zdolnych, aktywnych i nadal mu wiernych. Zapewne zostawi starych gwardzistów, jak Mariusz Błaszczak, pogodzi się taktycznie z pragmatykami Mateusza Morawieckiego, ale awansuje polityków podobnych Tobiaszowi Bocheńskiemu, Zbigniewowi Boguckiemu. Być może któryś z nich zostanie namaszczony na kandydata w wyborach prezydenckich. Wolą pana prezesa, a nie wynikiem żywiołowych prawyborów. I pewnie dziś moglibyśmy uznać, że znowu wola pana prezesa zatriumfuje, gdyby nie ustępujący prezydent Andrzej Duda.

Zapewne poczeka on na wyniki wrześniowego kongresu. Potem policzy salon odtrąconych liderów, grono nieodtrąconych, ale niezadowolonych. A potem wybierze z nich grono rokujące szansę na sukces. Zaprosi ich, kiedy powoła nowy byt polityczny. Ruch ocalenia polskiej prawicy. Dla dobra i ocalenia Polski rzecz jasna.

Byt Dudy

Ustępujący prezydent Duda ma niebagatelne atuty. Wielką popularność i zaufanie prawicowych wyborców. Grzechem byłoby je roztrwonić. Zwłaszcza że nikt poważny nie wierzy w jego karierę na scenie europejskiej czy światowej. W jego przyszłą wypasioną posadę w organizacji międzynarodowej. Suto opłacane wykłady na zagranicznych uczelniach. Doradztwa nieortodoksyjnie demokratycznych władców pragnących poprawić sobie wizerunek wśród demokratycznego Zachodu. Nawet na wykłady w polskich uczelniach, poza kilkoma uczelniami katolickimi, były prezydent Duda nie może liczyć.

Skazany jest na polską politykę. Musi się tutaj jakoś ustawić. Najlepiej jako patron nowej formacji prawicowej, do czego namawiają go jego współpracownicy. Też zagrożeni bezrobociem. A kiedy patronem zostanie, to skazany będzie także na pojedynek z prezesem Kaczyńskim.

Do takiego starcia dojść musi, jeśli jego doradcą, nawet mentorem politycznym, będzie Marcin Mastalerek. Obaj wiedzą, że prezes Kaczyński nie będzie z nimi współpracował, nie zaproponuje im prestiżowych pozycji w swoim PiS. Wiedzą też, że starzejący się, pełen obsesji i uprzedzeń prezes Kaczyński nie zapewni już zdolności koalicyjnych swej partii. A bez takich polska prawica nigdy nie odzyska utraconej władzy.

Sojusz obozu prezydenckiego z fanami odrzuconej Beaty Szydło i innych skrzywdzonych polityków może doprowadzić do marginalizacji prezesa PiS i jego kandydata na prezydenta RP. Do wystawienia trzech kandydatów prawicy w wyborach prezydenckich: wskazanego przez prezesa Kaczyńskiego, przez prezydenta Dudę i przez konfederatów Bosaka. Pierwsza tura wyborów prezydenckich będzie faktycznymi prawyborami na prawicy. Choć może jeszcze przed pierwszą turą obóz prezydenta Dudy porozumie się z Konfederacją i wystawią kandydaturę wspólną. Bo przegrana kandydata Kaczyńskiego przyśpieszy polityczną emeryturę prezesa PiS.

Plebiscyt przystojniaków

Chociaż premier Tusk jednoznacznie zdeklarował, że na prezydenta RP kandydować nie będzie, to szanse Rafała Trzaskowskiego na wygraną w pierwszej turze wielce nie wzrosły. Nawet jeśli głosy prawicy w pierwszej turze podzielą się.

Aby zostać w Polsce prezydentem, trzeba mieć jak najmniej przeciwników. Trzeba być przystojnym i niekonfliktowym jak kiedyś Aleksander Kwaśniewski. Albo przystojnym i nieznanym jak pierwszy raz kandydujący Andrzej Duda.

Rafał Trzaskowski spełnia pierwsze kryterium. Dlatego jego przeciwnicy polityczni, zwłaszcza prawicowe media, robią wszystko, by potencjalni wyborcy poznali Trzaskowskiego z jak najgorszej strony. Zwłaszcza jako prezydenta Warszawy. Każda jego kontrowersyjna decyzja jest obficie komentowana i będzie w czasie kampanii wyborczej wielokrotnie przypomniana. Znam kilku jego przeciwników, którzy modlą się o widowiskową katastrofę w stolicy. Powtórkę awarii rury ściekowej, która obryzga gównem kandydata KO, kolejną wojnę o krzyże w miejskich placówkach, widowiskowy homoseksualny ślub dygnitarza z magistratu, albo brutalny atak policji na patriotyczny Marsz Niepodległości.

Trzaskowski nie będzie też jedynym kandydatem rządzącej koalicji. Polska 2050 i PSL nie odpuszczą okazji, by wystawić swojego. Tylko tak wzmocnią swoją pozycję przetargową w drugiej turze, aby wytargować posady w kancelarii przyszłego prezydenta. Liderzy PSL mogą przed drugą turą prowadzić negocjacje także z kandydatem prawicy. Jako tradycyjna partia obrotowa.

Również Lewica będzie skazana na wystawienie swego reprezentanta. Najlepiej byłoby, gdyby postawiła na kobietę. Przystojną rzecz jasna i kompetentną. Takich w Lewicy nie brakuje. Choćby Agnieszka Dziemianowicz-Bąk.

Jeśli osiągnie ona wynik większy od sumy poprzednich wyników Magdaleny Ogórek i Roberta Biedronia, to poprawi pozycję Lewicy w wyborach parlamentarnych w 2027 r. Agnieszka nadzieją Lewicy.

PIOTR GADZINOWSKI

Cipa – sprawa lewicy

Nie, nie będzie o aborcji. Będzie o pomniku rewolucji.

Wojna o rzeszowski Pomnik Czynu Rewolucyjnego toczona przez prezydenta Konrada Fijołka z zakonem bernardynów i lokalnymi oszołomami od wyklętych to klasyczna walka lewicy z prawicą. Inaczej mówiąc – dobra ze złem. Tym wspanialsza, że dobro wygrywa. Rzeszów pokazuje, że katoprawackie rządy w Polsce naprawdę się skończyły.

Powstały w 1974 r. pomnik jest dziełem Mariana Koniecznego i wyróżnia się kobiecością. To znaczy – w odróżnieniu od dominujących w polskim krajobrazie monumentów fallicznych (jak choćby upiorny Pomnik Armii Krajowej przed sejmem) – nawiązuje kształtem do waginy. Oficjalnie: pary bliźniaczych liści laurowych, symbolu zwycięstwa. Liście przyozdobione są robotnikiem, chłopem, żołnierzem, sztandarem rewolucji i przebojem prof. Koniecznego – boginią Nike. Pomnik został sfinansowany z datków mieszkańców Rzeszowa – i przez pół wieku wpisał się w jego krajobraz do tego stopnia, że według Rzeszowskiej Diagnozy Społecznej 80 proc. mieszkańców jest przeciw jego zburzeniu.

„Za" jest zakon, który od pisowskich władz miasta dostał pomnik i otaczający go plac w prezencie, Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Niezłomnych Podkarpacia, któremu bernardyni oddali monument, kiedy zaczęło im się palić pod dupą, oraz, a jakże, IPN.

Piękno sytuacji polega na tym, że miasto nie klęka i katooszołomstwo ma gówno do powiedzenia.

Po kolei: w 2006 r., głosami radnych z PiS, LPR i lokalnego porozumienia prawicy Rada Miasta Rzeszowa sprzedała pomnik wraz z otaczającym go parkingiem zakonowi bernardynów za 1 proc. wartości. Przeciw głosował – co warto odnotowywać – ówczesny radny SLD Konrad Fijołek.

Bernardyni znani są ze szczególnej nienawiści do rewolucyjnej cipy – nie tylko z przyczyn politycznych i mizoginicznych, ale także dlatego, że 38-metrowy monument wyraźnie góruje nad pobliskim klasztorem. Przez dekadę pomnik niszczał, aż w 2017 r. IPN zarządził, że cipę należy zlikwidować na podstawie ustawy dekomunizacyjnej. Obowiązek likwidacji – mówi ustawa – spoczywa na właścicielu. Bernardyni niezaskakująco uznali, że ma za to zapłacić ktoś inny. W podkarpackim sejmiku pojawił się nawet wniosek o 850 tys. zł dla klasztoru na wyburzenie pomnika – ale padł w głosowaniu.

W międzyczasie lokalny inspektor nadzoru budowlanego kazał mnichom wyremontować cipę, która zaczęła stanowić zagrożenie dla przebywających w pobliżu osób. Zakonnicy odpowiedzieli, że *ich celem nie jest dbanie o socjalistyczne pomniki*, po czym odgrodzili go płotem i zaczęli odwoływać się od nakazu remontu, przegrywając w kolejnych instancjach.

Miasto cały czas ponawiało propozycje przejęcia pomnika, które bracia mniejsi zbywali wzruszeniem ramion.

W międzyczasie wszakże PiS przerżnęło wybory.

Zdesperowani bernardyni oddali cipę – za darmo – sekcie o nazwie Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Niezłomnych Podkarpacia. *W ostatnich latach pomnik stał się obiektem sporu polityczno-ideologicznego. Nie chcemy być stroną w sporze* – ogłosili mnisi z doskonałą katolicką hipokryzją, zważywszy, że jedynym sensem istnienia stowarzyszenia zdaje się walka z monumentem, który ich nie tylko oburza, ale i podnieca.

I w tym momencie miasto, zamiast nadstawić drugi policzek, pokazało wała.

Po pierwsze – zerwało umowę na sprzątanie klasztornych ogrodów wokół pomnika; umowa, jak nietrudno zgadnąć, nie przewidywała płatności od mnichów dla MPO, choć koszt prac wynosił 100 tys. zł. rocznie.

Po drugie – wystąpiło do sądu o unieważnienie sprzedaży (a tak naprawdę darowizny) z 2006 r., wykazując brak wyceny pomnika, który został oddany wraz z działką, a także fakt, że ustawa samorządowa nie przewiduje takich darowizn na cele sakralne. Miasto domaga się zwrotu od klasztoru; nawet nie zniża się do rozmowy z oszołomami od wyklętych.

Po trzecie – nowy wojewódzki konserwator zabytków zrobił to, czego jego pisowski poprzednik odmawiał: wpisał cipę na listę zabytków.

I po czwarte – Biuro Rozwoju Miasta Rzeszowa zmieniło plan zagospodarowania przestrzennego, ustalając wokół cipy *dostępny plac samorządowy*, czyli publiczny teren wypoczynkowy. Dodatkowo sam pomnik został uznany za *element dobra kultury współczesnej*, co oznacza zakaz jakichkolwiek poważnych zmian. Niezłomni wydali z siebie jakiś histeryczny pisk w sprawie naruszania przez ratusz ich prawa do terenu, na którym *chcą prowadzić działalność statutową*.

Po zapoznaniu się przez prezydenta z treścią uwag, postanowił ich w ogóle nie uwzględnić – doniosły lokalne „Nowiny".

Szach i mat, skurwysyny.

AWŁ

eprasa.pl f1d56f4ada

Lewicowa twarz

Niegdysiejszą ciepłą wodę z kranu zastąpiła bardzo droga woda zimna.

W kwietniu doszło w sejmie do spięcia o podwyżki za wodę i ścieki. PiS zaatakowało szefa resortu infrastruktury Dariusza Klimczaka, twierdząc, że ministerstwo szykuje gigantyczne podwyżki cen wody i ścieków. Klimczak odpowiedział, że rząd nie przewiduje żadnych podwyżek wody. Dziś, gdy cena wody skoczyła pod sufit, Klimczak wciska dziennikarzom, że te słowa zostały wyjęte z kontekstu i jedynie odpowiadał na zaczepkę.

Lanie drogiej wody

Przemysław Koperski jest podwładnym Klimczaka i zarabia na życie jako wiceminister infrastruktury. W zakres obowiązków służbowych ma wpisany kontakt z mediami i występy w sejmie. Ponieważ jednak wiceminister Koperski został posłany do rządu przez Nową Lewicę, jego priorytety są lewicowe.

Ich lewicowość zakłada odejście od niegdysiejszej tuskowej polityki ciepłej wody w kranie na rzecz wody zimnej. I to na dodatek za darmo lub za złotówkę za metr sześcienny wody. Wiceminister Koperski uważa bowiem, że *dostęp do zdrowej wody pitnej jest prawem, a nie towarem*, i dlatego z jego inicjatywy rząd zajmuje się rozwiązaniem, które spowoduje, że każdemu z nas miesięcznie 1000 litrów wody będzie przysługiwało darmo.

Dziś bowiem za wodę płaci się jak za zboże. Szczególnie po tym, gdy rząd, w którym zasiada Koperski, wymienił zawiadujących Państwowym Gospodarstwem Wodnym Wody Polskie na swoich ludzi. Instytucja ta – oprócz mnóstwa innych obowiązków – zatwierdza miastom i gminom taryfy wodno-kanalizacyjne. Znaczy ustala, ile za wodę mają płacić mieszkańcy Suwałk czy Wrocławia. Przez poprzednich sześć lat PiS zabroniło Wodom Polskim zgadzać się na podwyżki. Biedne wodociągi i kanalizacje płakały w mediach oczami i ustami swoich przedstawicieli, że to nieludzkie postępowanie zmusza spółki komunalne do zaciągania wielkich kredytów. Taki choćby Białystok przez sześć lat nabawił się 8 mln zł w plecy.

Nowe rozdanie osobowe w Wodach Polskich pochyliło się zatem nad białostocką niedolą i zgodziło się, żeby lokalsi za wodę i kanalizację płacili o połowę więcej niż do tej pory. Zamiast 8,19 zł za metr sześcienny, teraz becalują 12,26 zł.

Od lipca wrocławianie płacą 19,5 proc. więcej za wodę i ścieki. W Łodzi cena wody i ścieków skoczyła o 35 proc.

Podwyżki na poziomie 43 proc. zaliczyli mieszkańcy Polic, gdzie od 2018 r. obowiązywała łączna stawka 12,99 zł brutto. Nowa to 18,65 zł. Dużo drożej niż w Warszawie, gdzie po niemal 20-procentowej podwyżce cena zatrzymała się na kwocie 13,72 zł.

Co jednak mają powiedzieć mieszkańcy gminy Gierałtowice, dla których suma metra sześciennego wody i ścieków to 25,99 zł? Gmina Gierałtowice – wbrew wskazującej na to cenie wody – nie jest oazą na środku Sahary, ale leży w powiecie gliwickim, więc nie musi ciągnąć wody z ujęć odległych o setki kilometrów.

Skoro zatem wiceminister Koperski zapowiada *zapewnienie dostępu do taniej lub bezpłatnej oraz zdrowej wody pitnej każdej polskiej rodzinie*, to znaczy, że trzyosobowemu gospodarstwu domowemu w Gierałtowicach trzeba będzie sfinansować wodę wartą niemal 78 zł, a takiemu samemu stadłu w Warszawie – zaledwie 41,16 zł.

Kanał gminny

Tak – sfinansować, bo przecież biedne samorządy nie mogą być stratne. Koperski opowiada bowiem, że państwo należy zdecentralizować w kwestiach *zapewnienia dostaw wody pitnej dla mieszkańców*. W ramach którego – jak to ujął w wywiadzie dla Onetu – *w zakresie taryf za wodę oddajemy zabraną przez poprzedni rząd władzę samorządom*.

Znaczy to tylko tyle, że państwo przestanie mieć kontrolę nad taryfami wodno-kanalizacyjnymi. Będą bowiem za nie odpowiadać tylko rady miast i gmin – odpowiadać przed Bogiem i historią.

Wiceminister Koperski z racji wielu lat pracy w samorządzie nie może bowiem nie wiedzieć, że gminne spółki wodno-kanalizacyjne są idealnym miejscem do zatrudniania krewnych i znajomych radnych, zarówno tych miłych władzom lokalnym, jak i tych im niemiłych, ale potrzebnych. Takie etaty trzeba opłacać sowicie. Kasa na nie musi się zatem wziąć z wysokiej ceny za wodę i ścieki. Radni przekupieni robotą dla swoich na pewno więc przegłosują pasujące ich rodzinom stawki.

Im będą one wyższe, tym więcej dostaną lokalni włodarze od państwa. Koncepcja Koperskiego zakłada wszak, że to właśnie państwo będzie dopłacało gminom do darmowego metra sześciennego wody. Ma być na to w budżecie 7 mld zł. Znając pomysłowość samorządów, Koperski powinien wiedzieć, że jeśli pozwoli się lokalnym wodociągom w niekontrolowany sposób wymyślać pasujące im stawki, to kwota ta winna być kilkakroć wyższa.

Efekt ustalania cen wody przez samorządy przerabialiśmy przed PiS. Dzięki temu w 2014 r. przeciętne polskie gospodarstwo domowe wydawało na dostarczaną wodę i za odprowadzane ścieki ponad 2 proc. swojego budżetu. W roku 2010 r. wydawaliśmy 1,3 proc., a i tak było to więcej, niż wydawali na ten cel Niemcy, Francuzi, Anglicy, Czesi czy Grecy. W czasach gdy to samorządy kształtowały ceny wody i ścieków – nawet w wartościach nominalnych – ceny te w Polsce były wyższe niż w wielu krajach europejskich. Dziś za metr sześcienny wody i ścieków Niemcy płacą średnio 4,3 euro, czyli przy niemieckich zarobkach niemal tyle, co w nieodległych od Bundesrepubliki Policach.

Piłeś – nie lej

A teraz kuriozum absolutne. Koperski uważa, że darmowym tysiącem litrów wody dla każdego zachęci się Polki i Polaków do zachowań proekologicznych przejawiających szacunkiem do każdej kropli wody pitnej. Liberalnej ekonomii można zarzucić wszystko, co najgorsze, ale jednego nie sposób jej odmówić, tego mianowicie, że

jedynym, co sprawia, że ludzie czegoś zużywają mniej, jest cena tego czegoś. Jeśli więc komuś powie się, że coś ma darmo, to można być bardziej niż pewnym, że oszczędzać tego nie będzie.

Jeśli Koperski sądzi, że jest inaczej, to jest albo hipokrytą, albo nader niemądrym dyskalkulikiem.

Zwłaszcza że metr sześcienny wody wykupiony dla każdego przez państwo to niecałe ćwierć tego, co statystyczny mieszkaniec Polski zużywa. A zużywa i tak nieco mniej niż reszta Europy, czyli nie 4,5 metra sześciennego, a nieco ponad 4. Znaczy jakieś 135 litrów dziennie. Dane GUS, pokazują, że przeciętny Polak zużywa średnio na dobę: 2–3 litry wody do picia czy gotowania, 8–15 litrów wody do mycia naczyń z użyciem zmywarki, 50–60 litrów wody do ręcznego mycia naczyń, 10–15 litrów wody podczas niezakręcania kranu w czasie np. golenia, mycia zębów, 30–50 litrów wody do spłukiwania WC, 80–100 litrów wody w czasie jednego cyklu prania, 150–200 litrów wody do kąpieli w wan-

Tytoniowi

Palacze sponsorami państwa

Rys. WIDGET

Za pomocą akcyzy tytoniowej społeczeństwo grabią wszystkie rządy III Rzeczypospolitej. Na przełomie wieków na opakowaniach popularnych wówczas papierosów Bezrobotnych szczegółowo objaśniano, na czym polega kapitalistyczny „sprawiedliwy podział". Otóż 2,45 zł zabierało – pod postacią akcyzy i VAT – państwo, kolejne 40 groszy pochłaniały koszty produkcji, 11 groszy dystrybucja, 2 grosze marża wytwórcy, a 1 grosz producent przekazywał na pomoc dla masowo wówczas zwalnianych stoczniowców. Z czasem ideowi pobratymcy Balcerowicza zamknęli niemal wszystkie polskie stocznie i pozwalniali ostatnich stoczniowców, a Bezrobotne przeszły do historii. Jednak, jak pisał Marks, rozwój kapitalizmu polega na ciągłej internacjonalizacji i wynajdowaniu coraz to skuteczniejszych form wyzysku proletariuszy, zatem polskie Bezrobotne wyparły internacjonalistyczne Marlboro i Winstony, ceny fajek sukcesywnie rosły.

Zapowiedziana przez minister od zdrowia Izabelę Leszczynę i potwierdzona w kolejnym tygodniu przez ministra finansów Andrzeja Domańskiego reforma jest zaś milowym krokiem w już przeszło 30-letniej strategii zubażania palaczy. Zgodnie z planami rządu podwyżka akcyzy na papierosy ma wejść 1 stycznia 2025 r. i wynieść 25 proc. w przyszłym roku, 20 proc. w 2026 r. oraz 15 proc. w 2027. Z kolei tytoń do palenia podrożeje odpowiednio o 38, 30 i 22 proc., nowatorskie wyroby tytoniowe o 50, 20 i 15 proc., a płyny do e-papierosów o 75, 50 i 25 proc.

Papierosowa księgowość

Spróbujmy teraz rozszyfrować, jak podwyżki akcyzy wpłyną na portfel zwykłego obywatela. Otóż w bieżącym roku akcyza na papierosy wynosi 367,36 zł za każde tysiąc sztuk oraz 32,05 proc. maksymalnej ceny detalicznej (widniejącej na spodzie każdej paczki papierosów). Oznacza to, że kupujący liczącą 20 sztuk paczkę Marlboro musi zapłacić 7,35 zł sztywnej akcyzy oraz 6,89 zł uzależnionej od ceny detalicznej, czyli łącznie 14,24 zł. Ponadto palacz płaci jeszcze 60 groszy unijnego podatku od zawartego w filtrze plastiku oraz 4,02 zł VAT-u. W ostatecznym rozrachunku palacz kupuje papierosy o wartości 2,64 zł i płaci haracz na rzecz państwa w wysokości 18,86 zł. Innymi słowy,

podatki stanowią 88 proc. ceny paczki Marlboro. Po zrealizowaniu zapowiedzi minister Leszczyny ten haracz radykalnie wzrośnie,

bowiem wzrost akcyzy pociąga za sobą wzrost VAT-u, unijne opłaty (takie jak dotykająca palaczy opłata od plastiku) mają to do siebie, że uwielbiają rosnąć skokowo i niezapowiedzianie.

Załóżmy jednak optymistycznie, że zarówno koszty produkcji, jak i opłata plastikowa będą w najbliższych latach stałe, i skupmy się wyłącznie na podwyżce akcyzy. Już za niespełna pół roku akcyza na paczkę czerwonych Marlboro wzrośnie z 14,24 do 17,80 zł, pociągnie to za sobą wzrost VAT-u z 4,02 do 4,84 zł, a zatem dokładając opłatę plastikową i koszty produkcji cena paczki wyniesie 25,88 zł. W 2026 r. miłośnik marlborasów zapłaci już co najmniej 30,26 zł, a w 2027 r. – 34,07 zł.

Nie każdy wszak pali Marlboro, a w kraju nie brakuje konsumentów tańszych papierosów. Jednak w sytuacji, gdy ok. 90 proc. ceny stanowią sztywne podatki, różnice cenowe zanikają. Weźmy na warsztat tańsze papierosy Chesterfield, które obecnie kosztują 17,50 zł. Dziś akcyza na jedną paczkę popularnych „cześków" wynosi 12,96 zł, VAT – 3,27 zł, a opłata plastikowa – 60 gr. Łącznie podatki stanowią zatem 16,83 zł (96 proc. ceny), a koszty produkcji i dystrybucji jedynie 67 groszy. Znów zakładając, że opłata plastikowa i koszty produkcji pozostaną niezmienione, w 2025 r. za paczkę Chesterfieldów zapłacimy 21,49 zł, w 2026 r. – 25,46 zł, a w 2027 r. – 29,06 zł.

Dla tych, których już dziś nie stać na paczkowane fajki, rozwiązaniem pozostają tytonie do własnoręcznego skręcania. 80-gramowa paczka tytoniu Rothmans kosztuje jedynie 50,99 złotych, a jak deklaruje producent, wystarcza na skręcenie 200 papierosów (10 paczek). Nawet po doliczeniu objętych opłatą plastikową gilz i czasu, który trzeba spożytkować na kręcenie, paczka kosztuje nas grubo poniżej 10 zł, co wydaje się ofertą niezwykle atrakcyjną. I tak będzie do końca tego roku. Od 1 stycznia 2025 r. za wspomnianą paczkę tytoniu, będziemy musieli zapłacić co najmniej 67,43 zł, w 2026 r. – 85,34 zł, a w 2027 r. – 102,41 zł.

Bat na IQOS-y i wejpy

Można było mieć nadzieję, że przynajmniej z (rzekomo mniej szkodliwymi dla zdrowia) podgrzewaczami tytoniu i e-papierosami ustawodawca obejdzie się łaskawiej. Nic z tych rzeczy – minister Leszczyna po przegranej walce o delegalizację jednorazowych e-fajek najmocniej postanowiła uderzyć właśnie w miłośników nikotynowych nowinek. Wyliczenie akcyzy na tzw. nowatorskie wyroby tytoniowe (w tej kategorii widnieją podgrzewacze tytoniu) to już wyższa matematyka. Najpierw trzeba określić wagę pojedynczego wkładu. Z pomocą przychodzi producent Philip Morris International, który na swej stronie internetowej obwieszcza, że jeden wkład waży dokładnie 0,7463 grama. Wagę wkładu należy przemnożyć przez ich liczbę w opakowaniu i stawkę akcyzową. Następnie trzeba zajrzeć do obwieszczenia ministra finansów z dnia 20 lutego 2024 r. w sprawie średniej ważonej detalicznej ceny sprzedaży papierosów oraz średniej ważonej detalicznej ceny sprzedaży tytoniu do palenia w roku 2023, z którego dowiadujemy się, że tytoń do palenia kosztował średnio w ubiegłym roku 587,06 zł za kilogram. Po przemnożeniu tej liczby przez 32,05 proc. i wagę produktu otrzymamy wartość akcyzy – 10,30 zł. Do tego należy doliczyć opłatę plastikową oraz VAT. Wyjdzie nam, że w popularnych wkładach Heets Amber kosztujących 17,50 zł, przeszło dycha przypada na akcyzę, a łącznie podatki zżerają 81 proc. ceny. Z zapowiedzi minister Leszczyny wynika, że w przyszłym roku cena wkładów wzrośnie do 23,85 zł, w 2026 r. – 27,64 zł, a w 2027 r. – 31,06 zł.

Akcyzę na e-papierosy obliczyć znacznie łatwiej, gdyż podstawą jest mililitr płynu do e-papierosa, na który akcyza wynosi dziś 55 gr. Oznacza to, że w dziesięciomililitrowej buteleczce płynu taniej marki ID kosztującej 15,90 zł akcyza wynosi 5,50 zł, a podatki łącznie 8,47 zł (53 proc. ceny). Jednak już od przy-

eprasa.pl f1d56f4ada

podwyżki

nie, 40–50 litrów wody do kąpieli pod prysznicem (trwającej około 5 minut), 10 litrów wody przez kapiące krany czy nieszczelne baterie. 97 proc. wody, jest wykorzystywanych na cele higieniczne, sprzątanie, a także mycie naczyń. Zaledwie 3 proc. trafia do naszych szklanek podczas picia i przygotowywania posiłków.

Pić, prać, spuszczać wodę w kiblu, myć się i kąpać musi każdy. Nawet gdyby wszystkich wyposażyć w zmywarki i ekonomiczne pralki oraz wprowadzić zakaz używania wanien, to zużycie wody na osobę nie ma prawa spaść poniżej 3 tys. litrów wody na miesiąc.

Ba, spuszczanej do kanalizacji wody nie można też szczególnie oszczędzać. Jeśli bowiem zużywamy zbyt mało wody, rurociągi i rury kanalizacyjne nie są wystarczająco przepłukiwane. Pozostałości zalegają w rurach i mogą prowadzić do ich zatkania. W rezultacie firmy zaopatrujące mieszkańców w wodę muszą ręcznie czyścić kanały, a następnie przepłukiwać je wodą. Takie działania nie pozwalają zaoszczędzić ani zasobów, ani pieniędzy. Koszty usunięcia problemu oszczędzania wody są potem przerzucane na gospodarstwa domowe poprzez podwyżki cen wody.

Nie piłeś – zapłać

Wiceminister Koperski pewnie jest tego świadom. Dlatego kolejnym zdaniem zaprzecza głoszonym wcześniej pięknoduchowskim banialukom. Mówi, że bezpłatny dostęp do pierwszego 1000 litrów, a następnie progresywna stawka mają zachęcić, aby rozsądnie podchodzić do gospodarowania wodą. Kluczowym pojęciem jest tu – rzecz jasna – wyrażenie „progresywna stawka".

Sam Koperski tłumaczył to tym, że cena będzie zależeć od samorządu. Nie będzie na pewno przekraczać złotówki za pierwszą taryfę tzw. pitną, wynoszącą tysiąc litrów na osobę. Następnie stawki muszą być elastyczne. Ta „rodzinna" – od 1000 do 3000 litrów/mies. będzie traktowana priorytetowo, jeśli ktoś zużyje zdecydowanie więcej, to będzie musiał za kolejne metry sześcienne wody zapłacić więcej. Jedno łączy się z drugim.

Można więc być na 100 proc. pewnym, że opowieści o darmowej wodzie dla każdego są słowną osłoną przyszłorocznych dużych podwyżek cen tak wody, jak i ścieków.

No i wytłumaczeniem wymienionej wcześniej kwoty 7 mld zł. Za tyle bowiem kasy rząd zakontraktuje po metrze sześciennym dla każdego. Ale jak znamy polskie samorządy, drugi, trzeci i kolejne metry wody i ścieków będą po tyle, żeby ewentualną państwową niedopłatę wyrównać z gigantyczną górką finansową przeznaczoną dla zarządów, rad nadzorczych oraz krewnych i znajomych państwa radnych.

I dlatego, gdy wiceminister Koperski przekonywał, że bezpłatny metr wody to realna szansa dla obywateli na niższe rachunki za wodę, w szczególności w tych gminach, gdzie będzie prowadzona mądra polityka taryfowa i samorząd umiejętnie zainwestuje pieniądze z UE w system, gdzie amortyzacja sieci będzie rozłożona na lata oraz szybko uszczelni się wycieki, to gadał bzdury.

Wodociąg w plecaku

Równie niedorzeczne były jego bajania: mając powszechny dostęp do taniej i zdrowej wody z kranu, liczymy na zmniejszenie konsumpcji wody butelkowanej w plastiku, co niewątpliwie odciąży systemy gminne zbierania odpadów i ich przetwarzania, ale przede wszystkim będzie miało zbawienny wpływ na nasze zdrowie i środowisko. Albo facet się nie słyszy, albo nie wie, o czym mówi. Szczególnie gdy przekonuje, iż Polska poprzez proponowane regulacje może poczynić w tym obszarze kolejny krok, wyznaczając kierunek pozytywnych zmian także pozostałym państwom. Nowe regulacje zatem mają być zachętą dla mieszkańców, aby korzystać z wody w kranie.

Bo otóż, panie wiceministrze, w innych krajach Unii, wodę z kranów piło się i pije od zawsze. I jakoś wodę butelkowaną też tam piją. Jedno drugiemu nie przeszkadza. Ale za granicą mają wiceministrów mądrzejszych od Koperskiego i oni już dawno wpadli na pomysł, że aby zmniejszyć sprzedaż wody w butelkach, to wystarczy tylko ją stosownie opodatkować. Nikt jednak nie poszedł tam na całość, bo okazało się, że jak się człowiek szwenda po Barcelonie, Paryżu, czy Alpach, to ciężko mu ciągnąć za sobą rurę wodociągową. Poidełka miejskie jakoś do siebie ludzi nie przyciągają. Tak jak powszechnie dostępne w sklepach czy knajpach zbiorniki z darmową wodą i jednorazowymi, plastikowymi kubkami, które przecież trzeba zwalczać.

Od kilku miesięcy ludzie życzliwi Lewicy mówią o partii Czarzastego i Biedronia „partia wiceministrów". Mając na myśli, nie tylko jej wątpliwą sprawczość, ale takich właśnie gigantów polityki jak Koperski. Ludzi, którzy tak zżyli się ze stanowiskami, że albo przestali racjonalnie postrzegać rzeczywistość, albo przyrodzony władzy cynizm, każe im przy zapowiadaniu podwyżek bajdurzyć o ekologicznym spadku rosnących cen.

TADEUSZ JASIŃSKI

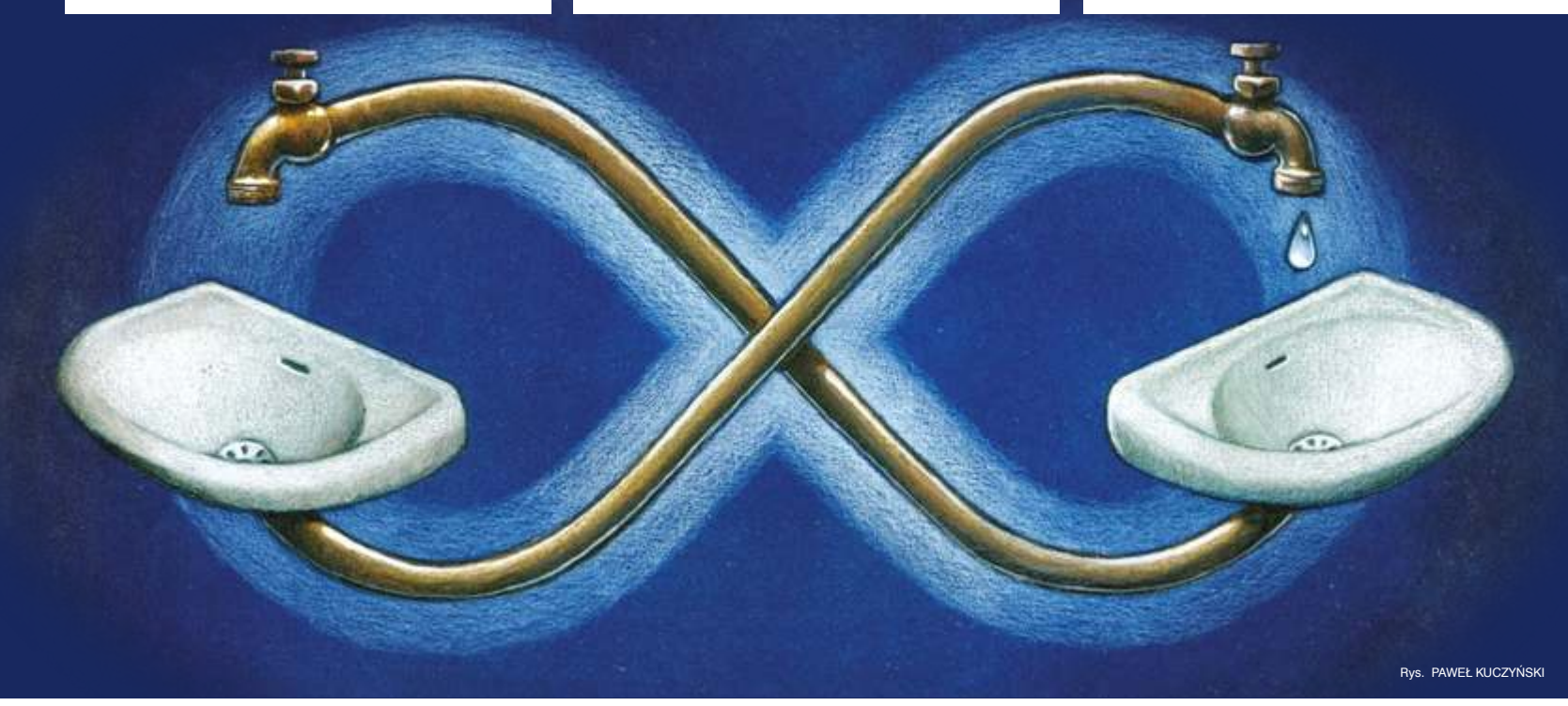

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

hunwejbini

szłego roku akcyza wzrośnie do 9,63 zł, w 2026 r. – do 14,45 zł, a w 2027 r. – do 17,34 zł. Oznacza to, że za trzy lata buteleczka płynu, która niejednemu wejperowi (jak określa się użytkowników e-papierosów) starcza na kilka godzin, będzie kosztowała przeszło trzy dychy.

Zakłamane zatroskanie

Proponowane przez Leszczynę i Domańskiego drakońskie podwyżki są zapowiedzią bezczelnego grabienia niemałej części obywateli, jednak w prasie nie słychać jakiegokolwiek głosu sprzeciwu. Media od prawa do lewa bezrefleksyjnie powtarzają, że rząd troszczy się o zdrowie Polaków, a podwyżki akcyzy tytoniowej są oczywiste niczym fajerwerki w sylwestra, zatem nie ma o co bić piany. TVP znalazła nawet palaczy zachwyconych zapowiedziami rządu i przekonanych, że podwyżki skłonią ich do zerwania z nałogiem. Tymczasem wszystkie kolejne podnoszące akcyzę rządy miały w nosie zdrowie Polaków, a podwyżki nijak nie przekładały się na poprawę dostępności świadczeń zdrowotnych dla palaczy. Z danych Biura Analiz Sejmowych (BAS) wynika, że w latach 2013–2019 (nowszych danych nie ma) liczba pacjentów objętych profilaktyką chorób odtytoniowych spadła z 12,1 do 6,9 tys., tj. o 45,6 proc. Jeszcze wyraźniej spadły nakłady na profilaktykę – z 367,3 do 172,8 tys. zł. A przypomnijmy, że w kraju mamy przeszło 8 mln palaczy. Ostatni program profilaktyczny mający poprawić wykrywalność raka płuca zrealizowano w latach 2021–2024. Wymogi były wyśrubowane – trzeba było ukończyć 55 lat oraz mieć konsumpcję tytoniu w wysokości co najmniej dwudziestu paczkolat (tj. palić paczkę papierosów dziennie przez 20 lat, pół paczki przez 40 lat lub dwie paczki przez 10 itd.). Ponadto do realizacji ogólnopolskiego programu wybrano ledwie 30 szpitali. Żyjący w trzech największych województwach – mazowieckim, śląskim i wielkopolskim – a także mieszkańcy Kielecczyzny, Opolszczyzny, Podlasia i Pomorza musieli na badania płuc jeździć do sąsiednich województw.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Opowieści o zatroskaniu kolejnych rządów zdrowiem obywateli są po prostu kłamliwe, jednak nie da się zaprzeczyć, że palenie tytoniu generuje pewne koszty dla budżetu państwa. Rząd wszak nie publikuje żadnych informacji o nakładach na leczenie chorób odtytoniowych, a analizy BAS opierają się na danych sprzed 15 (!) lat. Swoje szacunki opublikował względnie niedawno Bank Światowy i jak pisze Witold Gadomski z „Gazety Wyborczej", według nich palenie w 2021 r. kosztowało NFZ ok. 18,23 mld zł. Nad Wisłą rocznie sprzedaje się ponad 49 mld sztuk papierosów, zatem łatwo obliczyć, że aby w pełni zrekompensować koszty palenia tytoniu dla budżetu NFZ, podatki powinny wynosić 7,44 zł od paczki. Po doliczeniu unijnej opłaty plastikowej oraz kosztów produkcji i dystrybucji wynika, że opakowanie Marlboro powinno kosztować nieco ponad dychę, a paczka Chesterfieldów niecałe 9 zł.

Gdybyśmy zaś policzyli, jakie oszczędności dla Zakładu Ubezpieczeń Społecznych generują palacze – żyjący średnio o ok. 10 lat krócej od niepalących – okazałoby się, że do papierosów budżet powinien dopłacać, zamiast je opodatkowywać.

Uratują nas bazary

Nieśmiałe wspomnienie o powyższych wyliczeniach naraża nas jednak na wrzask wszelkiej maści moralistów domagających się zajadłej walki z tytoniem w imię zdrowia i czystości narodu. Ich prekursorem był pewien wąsaty Austriak walczący o czystość rasy, który już w latach 30. ubiegłego wieku próbował zakazać tytoniu w rządzonej przez siebie Rzeszy. Tylko dlaczego, do diabła, walka o zdrowie publiczne zawsze wymierzona jest wyłącznie w palaczy?! Jeżeli tak bardzo zależy nam na poprawie kondycji społeczeństwa, to przywróćmy kartki na cukier, zakażmy handlu golonką i sprzedaży popcornu w kinach, a ponadto zobowiążmy cukrzyków do noszenia na ramionach specjalnych opasek, aby w żadnym sklepie nie sprzedano im choćby cukierka. Wprowadźmy obowiązkowe karty magnetyczne rejestrujące sprzedaż alkoholu, a na każdego pijącego ponad normę nasyłajmy o szóstej rano funkcjonariuszy Urzędu ds. Przeciwdziałania Alkoholizmowi i umieszczajmy delikwenta w miejscu odosobnienia i pełnej abstynencji, najlepiej na łonie natury. Wprowadźmy obowiązkowe karnety na baseny i siłownie, a każdego, kto nie wykazuje się aktywnością fizyczną przez co najmniej 25 minut dziennie (zgodnie z zaleceniami WHO), karzmy mandatami albo odsyłajmy do kamieniołomów, gdzie pod czujnym okiem strażników będzie musiał odrabiać sportowe zaległości. Zakażmy w końcu mięsa i wędlin, bowiem wedle badań są one rakotwórcze, a także ryb, ponieważ zawierają rtęć i inne szkodliwe metale ciężkie. Ustawmy na nadbałtyckich plażach funkcjonariuszy Urzędu ds. Bezpiecznego Wypoczynku, aby skrupulatnie doglądali, czy każdy plażowicz jest dokładnie wysmarowany kremem z filtrem – skoro nie chcemy mieć chorych na raka płuc, to zawalczmy także o wyeliminowanie nowotworów skóry. Na zakończenie ograniczmy maksymalną prędkość wszystkich pojazdów mechanicznych do 10 km/h (do rozważenia pozostaje podniesienie tego limitu do 15 km/h na autostradach), ażeby wyeliminować wypadki komunikacyjne, które także skutkują poważnymi uszczerbkami na zdrowiu.

Zdrowotny hunwejbinizm nie jest niczym nowym. Już w latach 60. w artykule pt. „Jego totalność dr Marcinkowski" opublikowanym na łamach „Polityki" Urban opisywał fanatycznego działacza antyalkoholowego z Krakowa, który postulował powszechną abstynencję i zamykanie pijących w obozach pracy. Jak widać, idea zdrowotnego terroru jest wiecznie żywa niczym Lenin.

Jest jednak wyjście z tej, wydawałoby się, patowej sytuacji – otóż na Ukrainie paczka Marlboro kosztuje ledwie 105 hrywien czyli ok. 9,89 zł. Po wybuchu wojny przyjechali nad Wisłę, wtopieni w uchodźczy tłum, ukraińscy mafiosi, którzy ochoczo opanowali tytoniową kontrabandę, wypierając Białorusinów i Rosjan. Oczywiście, nie popieramy przestępczości zorganizowanej, lecz musimy przyznać ukraińskim handlarzom, że szlugi sprzedawane przez nich (choćby pod stołecznym Stadionem Narodowym) kosztują niemal tyle, ile na Ukrainie – koło dychy za paczkę – a obecność na straganach międzynarodowych marek gwarantuje jakość zbliżoną do polskiej. Jeżeli obywatel przyciśnięty do muru przez podwyżki akcyzy zechce skorzystać z usług naszych braci znad Dniepru winien tylko zwracać uwagę, czy nie ma do czynienia z tandetnymi podróbkami, wszak – wbrew polskiej propagandzie – wśród Ukraińców oszustów nie brakuje…

MAREK SANOWSKI

eprasa.pl f1d56f4ada

ETYKA BEZBOŻNA

Sport na haju kręci i jara

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

A ja wiedziałem, że tak będzie! Amerykański miliarder Peter Thiel, kolega Elona Muska (nie lubimy), ogłosił, że (kiedyś) zorganizowane zostaną „igrzyska na dopingu”. Taki jest cel wspieranego przez niego projektu o nazwie „Enhanced games”, czyli „Rozgrywki ze wspomaganiem”, którego szefem jest ekscentryczny biznesmen i filantrop dr Aron Ping D'Souza. W nowego typu „olimpiadzie” będzie można wziąć udział, a nawet powinno się brać w niej udział na haju, czyli pod wpływem niedozwolonych w oficjalnym sporcie substancji oraz z wykorzystaniem niedopuszczonego do użycia przez federacje sportowe sprzętu, takiego jak specjalne sprężynujące buty do biegania.

To była tylko kwestia czasu. Od dawna narastał bowiem opór przeciwko hipokryzji i nieudolności w zwalczaniu dopingu, jak również wątpliwości odnośnie do sensu dalszego podtrzymywania regulacji antydopingowych w sporcie. Nie będę komentował szczegółów biomedycznych, na których się, jak wiadomo, nie znam, lecz kusi mnie, aby rozważyć tę kwestię z punktu widzenia etyki.

Zacznijmy od tego, o co właściwie chodzi w „czystym” sporcie? Chyba o to, aby w imieniu nas wszystkich nieliczni waleczni i obdarzeni talentem oraz warunkami psychofizycznymi sprawdzali, jakie są granice możliwości naszego gatunku w różnego rodzaju aktywnościach wymagających szczególnie dużego wysiłku fizycznego. Sprawdzali, a następnie poszerzali i powiększali te gatunkowe możliwości. A my? A my mamy sobie siedzieć na trybunach albo przed telewizorem, patrząc, jak oni, sportowcy, w imieniu całej ludzkości (a przynajmniej narodu albo chociaż miasta) testują i poszerzają granice. Muszą to jednakże robić bez żadnego wspomagania farmakologicznego, bo przecież chodzi nie o to, co może osiągnąć człowiek w stanie nienaturalnym, lecz właśnie naturalnym. Człowiek jako człowiek, a nie jakaś podkręcona chemią góra mięśni.

Tu się jednakże doktryna zaczyna załamywać. Bo od naturalności zawodowi sportowcy odchodzą tak czy owak. Korzystają ze specjalnych diet i zabiegów, które nie są dostępne ogółowi. Mają też lepszy sprzęt, którego amatorzy raczej nie używają. Wcale nie są tacy znowu naturalni. Dlaczego więc, skoro mogą wspierać się jakimiś specjalnymi odżywkami, to mamy im zabraniać tabletek wspierających ich wydolność? Odpowiedź jest niby prosta: po pierwsze, tabletki to coś nienaturalnego; po drugie, wprowadzają nierówność między tymi, którzy biorą, a tymi, którzy nie biorą; a po trzecie, generalnie tzw. doping jest niezdrowy.

Kiedyś te argumenty były całkiem przekonujące. Dziś jednakże już tak nie jest. Trening i żywienie sportowców wyczynowych bardzo się oddaliły od naturalności, a różnica między dozwolonymi suplementami diety a niedozwolonymi substancjami jest określana dość arbitralnie. Tradycyjne kryterium szkodliwości dla zdrowia coraz trudniej stosować, bo wiele zakazanych substancji nie jest już szkodliwych, jeśli są używane z umiarem. Coraz gorzej reagujemy również na kategorię naturalności. Za dużo było bowiem takich, którzy chcieli usprawiedliwiać prześladowania LGBT, a nawet nierówność płci za jej pomocą.

Promotorzy „igrzysk na dopingu” podnoszą jeszcze kilka innych argumentów. Mówią, że jeśli doping jest patologią, to patologią jest też udawanie, że walczy się z nim skutecznie. Jak twierdzą, ok. 44 proc. lekkoatletów korzysta z dopingu, a wykrywa się go zaledwie u 1 proc. sportowców. Zawody sportowe zmieniają się więc w ciuciubabkę i loterię: kogo nie złapią, ten wygrywa i zbiera nagrodę. W rezultacie idealiści niebiorący niedozwolonych substancji tracą, bo nie wygrywają zawodów, nie są podziwiani i nie zarabiają. To ciekawe, ale D'Souza podkreśla ten ekonomiczny argument. Lekkoatleci mają zaskakująco niskie dochody, a czym potężniejszy jest system instytucji antydopingowych, tym większa rośnie dysproporcja między zarobkami działaczy i urzędników, a zarobkami samych sportowców.

No i wreszcie ekscentryczni milionerzy kładą asa na argumencie zdrowotnym. Twierdzą, że doping „na lewo” jest faktycznie szkodliwy, podczas gdy doping legalny będzie pod pełną kontrolą medyczną i przez to znacznie bezpieczniejszy. Tak jak legalna aborcja.

No i co? Czy już lecimy podpisywać petycję o zniesienie zakazu występowania w „Rozgrywkach ze wspomaganiem”? Dobre pytanie. Bo sprawa ma jeszcze jeden ciekawy aspekt. Federacje sportowe nieźle się wystraszyły bogaczy, bo nie od dziś wiadomo, że jak się taki uprze, to sobie gwiazdkę z nieba kupi, a co dopiero igrzyska narkomanów i cyborgów. A kto się boi, ten straszy, więc huzia na Józia, zaczęły na prawo i lewo potępiać „Enhanced games” i ostrzegać sportowców przed kolaboracją z promotorami wywrotowych idei. A to już nieładnie. Człowiek jest wolny i może sobie łykać, co mu się podoba. Na przykład tabletki antykoncepcyjne, za które działacze sportowi w dyscyplinie „loty w zaświaty” też chcieli karać i wykluczać.

Z brukaniem ducha szlachetnej sportowej rywalizacji też bym nie przesadzał. Duch dawno już z zawodowego sportu uleciał i jeśli coś tam jeszcze poza pieniędzmi się liczy, to widowisko, które naprawdę chcemy oglądać. No i osobiste marzenia i aspiracje sportowców, ale to one właśnie są natychmiast monetyzowane przez system. Sam sportowiec jest zaś w tym systemie malutkim trybikiem, który bez trudu można wymienić na inny. Przypuszczalnie z biegiem czasu rozwiną się konkurencje i zawody równoległe – z dopalaczami – i czym więcej ludzi będzie zaczynać i rozwijać kariery w tym nowym nurcie, tym bardziej będzie on interesujący i społecznie akceptowany. To tak jak z małżeństwami. Stają się coraz mniej potrzebne i atrakcyjne, ale życie par bez ślubu przestało już kogokolwiek razić. Po prostu są małżeństwa i pary partnerskie. Nie ma co dorabiać do tego etyki ani etyki w to wrabiać. Z igrzyskami na dopalaczach jest tak samo. Byleby były bezpieczne, a reszta to – by użyć ulubionego zwrotu etyków katolickich – róbta, co chceta!

JAN HARTMAN

Nieboszczyki wielokrotnego

Jeśli jakaś instytucja zarabia na dewastowaniu cmentarzy 600 mln zł rocznie, to przypadkiem nie zasługuje na miano hieny?

2 września w Chojnicach ma odbyć się ogromny pogrzeb z udziałem Andrzeja Dudy. Przez ulice przejedzie 148 trumien, w których znajdą się doczesne szczątki ok. 600 osób. Gdyby ktoś się zastanawiał, czy nad tą częścią Polski przeszła ostatnio mordercza trąba powietrzna, wystąpiło lokalne podtopienie o skali biblijnego potopu, czy choćby region ten nawiedził atak czarnej ospy, połączonej z dżumą, świnką i tyfusem, to nic z tych rzeczy.

Hurt cmentarny

Zawartość trumien będzie stanowiło to, co przez ponad 80 lat zalegało pod ziemią, a co od czterech sezonów archeologicznych wydobywa Instytut Pamięci Narodowej, choć o istnieniu tam cmentarzyska wiedziano zawsze, stąd miejsce to było nazywane Doliną Śmierci. Przez ten czas instytut nie doszedł nawet do wiedzy, ile osób spoczęło w masowych mogiłach i nawet ile jest tam takich grobów.

Gdyby cmentarzysko było w jakimś normalnym kraju, to po wstępnych wykopkach, teren by posprzątano, ogrodzono i robiłby za dwumilionowe osiemset dwudzieste piąte miejsce, gdzie hitlerowcy realizowali swoją zbrodniczą politykę etniczną i demograficzną. Tę ostatnią dlatego, że pod Chojnicami znaleziono szczątki niegdysiejszych pacjentów miejscowych szpitali psychiatrycznych. Co historyków dziwić nie powinno, bo osób uznanych przez nazistów za felerne intelektualnie, pozbywano się nawet w Niemczech, i to od lat 30.

Skąd zatem pomysł, by kości wykopać, wydać kasę na trumny i zainwestować w wielki zbiorowy grób na miejscowym cmentarzu? Ale żeby tylko… Ma też być msza, którą odprawi biskup pelpliński. Na jej okoliczność samorząd wysupłał kasę na wystawienie dwóch telebimów przed kościołem i cmentarzem, żeby niezmierzone tłumy widziały, co i jak. Po nabożeństwie Wojska Obrony Terytorialnej odprowadzą trumny na Cmentarz Ofiar Zbrodni Hitlerowskich w Chojnicach. Trumny zostaną złożone w grobowcu o wielkości 15 na 8 m. Na nim ułożona zostanie marmurowa płyta nagrobna. A żeby wszystko było jak trzeba, to w dniu pogrzebu Chojnice niemal zostaną zamknięte dla ruchu drogowego. Wszystko to za grube miliony złotych organizuje IPN ku chwale swojej i Andrzeja Dudy.

Pochówek skrojony pod Dudę

Wbrew pozorom prezydent Duda nigdy przesadnie nie pałał chęcią do występowania na pogrzebach wykopanych przez IPN zwłok. Wolał być na pochówkach świeżo zmarłych artystów, bohaterów mediów, czy prezydentów miast, o głowach innych państw nie wspominając.

Jeśli jednak miał być przy którymś tam kolejnym przenoszeniu kości, to na początku prezydentury wolał tych z podziemia antykomunistycznego. Dlatego w grudniu 2017 r. pojawił się w Gdyni, by błyszczeć podczas pochówku dwóch kontradmirałów i jednego komandora. Kości na taki zaszczyt zasłużyły się tym, że ich żywi niegdyś posiadacze brali udział w obronie Wybrzeża w 1939 r., a w okresie powojennym mieli pecha służyć w Marynarce Wojennej, z której za Stalina postanowiono się ich pozbyć. Doszło do błyskawicznych procesów, podczas których oskarżono towarzystwo o szpiegostwo i skazano na śmierć. Wyroki wykonano w 1952 r. i zakopano ciała po cichu na Powązkach. W 2013 r. IPN ustalił ich szczątki. Przez kolejne lata kości czekały na to, żeby zostać propagandowo i politycznie wykorzystane przez zupełnie inną władzę. Tę, której emanacją był Andrzej Duda, a zbrojnym ramieniem IPN.

Z czasem komunistycznych ofiar, przy których prezydent mógłby się zaprezentować godnie, zaczęło brakować. IPN musiał więc sięgać po zwłoki nieco starsze i nieco innej proweniencji.

Na jesieni 2019 r. na Westerplatte wykopano dziewięć szkieletów. Badano je długo i szczęśliwie, aż wykoncypowano, że do siedmiu z nich można przypisać imiona i nazwiska poległych obrońców Wojskowej Składnicy Tranzytowej z 1939 r., natomiast do dwóch – nie, ale ponieważ wszystkie kości były razem, to uznano, że też „czwórkami do nieba szli”.

Ponieważ w tym czasie PiS odbiło Westerplatte z rąk samorządu gdańskiego, wpadnięto na pomysł wydania kupy pieniędzy i stworzenia hiper-wypasionego cmentarza dla Westerplatczyków. Początek już był, bo na miejscu zalegały przecież zwłoki mjr. Henryka Sucharskiego. Władzy nie przeszkadzało, że od wielu lat nawet dzieci wiedzą, że facet nie tylko nie dowodził obroną Składnicy we wrześniu, ale wręcz siedział pod kluczem podkomendnych, bo chciał się poddać Niemcom już po paru godzinach walki. Nie przeszkadzało też to, że na trupie Sucharskiego zapunktowała w 1971 r. ekipa Gierka, a szczególnie jej minister obrony narodowej gen. Wojciech Jaruzelski, który udekorował wówczas trumnę Sucharskiego krzyżem Orderem Virtuti Militari i strzelił stosowne przemówienie.

Ówczesny pochówek majora był już jego drugim. Sucharski umarł w 1946 r. i przez niemal ćwierć wieku jego grób można było odwiedzać w Neapolu. Gierkowi i Jaruzelskiemu major był jednak potrzebny, bo mógł nieco przykryć propagandowo strzelanie do robotników kilka miesięcy wcześniej. Zwłoki z Włoch ekshumowano i sprzedano medialnie patriotycznej gawiedzi po raz pierwszy.

W marcu 2021 r. wykopano je ponownie. Bez fanfar zapakowano do nowej trumny i ustawiono na 1,5 roku w kościele św. Brygidy. Na czwarte miejsce wiecznego spoczynku Sucharskiego odprowadzono trzy dni po Wszystkich Świętych. Tym razem enty pochówek majora i dziewięciu wykopanych szkieletów miał być przygrywką wykazującą, że PiS jest bardziej patriotyczne niż organizowany parę dni później przez Bąkiewicza Marsz Niepodległości.

Na trupie Sucharskiego w 2022 r. zarabiał polityczne punkty prezydent Duda. Najpierw msza z jego spiczem i wojskowym ceremoniałem z użyciem kompanii honorowej, potem niczym na pogrzebie królowej brytyjskiej wielokilometrowy blokujący Gdańsk przejazd kolumny złożonej z pięciu wojskowych aut Ford Ranger – każde z nich wiozło dwie trumny przykryte biało-czerwoną flagą. Na cmentarzu przemowy i TVP, zdobywająca w ten sposób materiał, który przez kolejne dwa dni był ogrywany w pisowskiej telewizji. Zwłoki majora sprzedano politycznie po raz kolejny.

Niemal w tym samym czasie na cmentarzu w brytyjskim Newark wykopano resztki trzech emigracyjnych prezydentów: Władysława Raczkiewicza, Augusta Zaleskiego i Stanisława Ostrowskiego. Procedury z odprawą trwały parę dni, w czasie których specjalnie pod TVP zorganizowano uroczystości pożegnania zwłok z brytyjskim cmentarzem. Była oczywiście msza, a nawet pożegnania w ratuszu Newark, gdzie miejscowy burmistrz otrzymał odznaczenie Opiekun Miejsc Pamięci Narodowej.

Kilka dni później samolot ze szczątkami trzech pierwszych prezydentów RP na uchodźstwie wylądował na Okęciu. Nieboszczyków witał tam długą przemową premier Morawiecki. Potem kolumna stylizowana na lawety z trumnami, zablokowała pół stolicy, bo jechała do Świątyni Opatrzności Bożej w Wilanowie. Tam długa i przegadana msza ze spiczami Gądeckiego i Nycza. Prezydent Duda tym razem nie błyszczał, choć oczywiście był. Cyrkiem z ekshumacjami, pochówkiem w Wilanowie i prezydentem Dudą TVP karmiła publikę przez niemal cztery dni.

Od tej pory minęły niemal dwa lata i jedne przegrane przez PiS wybory. Duda, a jeszcze bardziej szef IPN Karol Nawrocki, musieli więc wymyślić pochówek, jakiego dotychczas nie było. To stąd te chojnickie 148 trumien, które niemal jak w „Misiu” mają pokazać, że pochłaniająca chore pieniądze pisowska polityka historyczna nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. Choć bezsens finansowania IPN setkami milionów złotych rocznie widać od lat.

eprasa.pl f1d56f4ada

Podatek za wódkę w najmniejszych opakowaniach ma wzrosnąć.

Małpie figle rządu

Mam złą wiadomość: państwo znowu upierdliwie chce zmusić obywateli do życia. Ministerstwo Zdrowia wespół z Ministerstwem Finansów postanowiły nieco ogarnąć alkoholowe zoo i uknuły plan podwyższenia opłaty małpkowej. Na razie nie wiadomo, o ile zdrożeją ukochane zwierzątka Polaków i czy opłata w ogóle wejdzie w życie, ale złośliwi już wykrzykują obelżywe hasła o łupieniu rodaków i łataniu dziury budżetowej ich wątrobami. Nie mają racji, bo według raportu ekonomistów ze Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, przygotowanego na zlecenie Państwowej Agencji Rozwiązywania Problemów Alkoholowych (PARPA), koszty społeczno-ekonomiczne narodowego ochlaju w 2020 r. sięgnęły aż 93,2 mld zł. Tymczasem przychody z tytułu podatku akcyzowego od napojów alkoholowych uplasowały się na poziomie 13,4 mld zł. Można zatem założyć, że rząd ma dobre intencje, chociaż do sprawy znów zabiera się od dupy strony i ewidentnie nie chce drażnić spirytusowego lwa.

Dzieciarnia na tzw. małpki mówi bmw – bardzo mała wódka. Niegdyś nazywało się je również szczeniaczkami. Alkohol w wersji mini wygenerował spory problem. Czasoumilacz w dyskretnym opakowaniu najlepiej sprzedaje się w godzinach 6.00–7.00, kiedy otwierają się sklepy, a śpieszący do pracy obywatele muszą naładować baterie. Codziennie do południa sprzedaje się 1 mln sztuk procentowej przekąski. Małpki są jednorazowo niskim wydatkiem, ale gdyby przeliczyć cenę za litr, ta forma alkoholizacji do tanich nie należy. Wódki smakowe w najmniejszym formacie 90/100 ml to koszt około 9 zł., zaś 200 ml – niecałe 17 zł. Za setkę czystej trzeba zabulić od 8,60 do 10 zł, za dwie setki – ponad 18 zł. Pierwsze „małpkowe" zaczęto naliczać na początku 2021 r. Opłatę wprowadzono równocześnie z tzw. podatkiem cukrowym na słodkie napoje. Ustawa nałożyła opłaty od alkoholu o mocy powyżej 18 proc. sprzedawanego w opakowaniach o objętości do 300 ml w wysokości 25 zł od litra stuprocentowego alkoholu. Przykładowo oznacza to 1 zł od setki wódki 40-procentowej Niektórzy znaleźli sposób na ominięcie nowego podatku i w sklepach pojawiły się flaszki o pojemności 350 ml. Chociaż sprzedaż sznapsików nieco spadła po nałożeniu daniny, szczęśliwi wydatków na wódę nie liczą.

Rys. WIDGET

Czym jest kilka złotych więcej wobec możliwości skitrania flakonu z rozluźniaczem w kieszeni, torebce czy gaciach?

Nie wspominając, że w społeczeństwie utarło się, że alkoholik to ten, kto wali przynajmniej litra dziennie, a nie dwa łyki na rozruch, ewentualnie jako utrwalacz do piwa, wzmacniacz do porannej kawy i tak dalej...

Warto wiedzieć, że połowa podatku małpkowego trafia do Narodowego Funduszu Zdrowia, a druga do samorządów. Zatem każde miasto i gmina ma udział w obrocie alkoholowymi miniaturkami. Niestety, nie bardzo jest się z czego cieszyć. Włodarze nie mogą wydać tych pieniędzy wedle własnego widzimisię. Kasę z alkoholizacji społecznej można zainwestować tylko na działania profilaktyczne chroniące przed chlaniem (sic!). W ten sposób powstają mdłe do wyrzygu wydarzenia kulturalne i sportowe, które mają pokazać społeczeństwu, że zamiast się najebać można atrakcyjnie spędzić czas. Pytanie, czy mecz piłki nożnej lokalnych młodzików i koncert disco polo wygrają z promocją flaszki mocnego alkoholu za grosz przy zakupie trzech, albo 12 darmowych browarów na 12 opłaconych piwek, wydaje się retoryczne. Producenci alkoholi, mając na uwadze potrzeby swoich klientów, zaskakują kreatywnością. Dopieszczają konsumentów nie tylko feerią smaków, ale i praktycznymi udogodnieniami. Kiedy minister finansów Andrzej Domański dzielił się z mediami pomysłem na podwyższenie cen małpek, w sklepach internetowych zadebiutowała nowa kategoria mocnych alkoholi w saszetkach. *Nasz nieszablonowy design z charakterystyczną małpką voodoo na opakowaniu odzwierciedla naszą filozofię – bawimy się konwencjami i nie boimy się eksperymentować* – pisze o sobie producent. I chwała mu, przynajmniej jest szansa, że z czasem tsunami szklanych flaszek zniknie z polskiego krajobrazu.

Dopóki akcyza nie wyskoczy w kosmos, a sprzedaż małego litrażu nie zostanie zakazana, problem tłoczenia miniaturek nie zniknie. Państwo w tę stronę nie pójdzie, by nie drażnić spirytusowego lobby i nie wkurwić wyborców. Skoro proponowane przez rząd półśrodki gówno dają, a naród i tak chodzi zalany, niech producenci dalej główkują nad opakowaniami. Może następnym krokiem będą biodegradowalne? Takie, które rozłożą się szybciej niż wątroba.

IDALIA DUBICKA

użytku

...i jeszcze raz

W KL Gross-Rosen (Rogoźnica pod Strzegomiem) z tym łez padołem naziści pomogli się rozstać ponad 40 tys. ludzi. Najliczniejszą grupę stanowili Żydzi. Potem – Polacy i Rosjanie. Byli też Czesi, Belgowie, Francuzi, Węgrzy. Teren obozu to wielki cmentarz. Wiadomo, kto tu zginął i w jaki sposób.

Mimo to prokuratorzy z IPN razem z archeologami z Uniwersytetu Wrocławskiego chwycili za łopaty i jęli przekopywać okolice dawnego rowu przeciwlotniczego leżącego na obrzeżach obozu. Po co? Aby sprawdzić, czy wspomnienia niegdysiejszego belgijskiego lekarza obozowego są prawdziwe. Jego zdaniem powinno w tym miejscu być 300 szkieletów. IPN znalazł 14. Ogłosił zatem, że znalezienie ludzkich szczątków na cmentarzysku to niezaprzeczalny sukces.

Żeby jednak był większy, kości przewieziono do Zakładu Medycyny Sądowej we Wrocławiu, gdzie poddawane były badaniom. Jakim, nie wiadomo, bo jedyny sposób identyfikacji zwłok był możliwy na podstawie blaszki z numerem, którą dostawał każdy więzień Gross-Rosen. Sęk w tym, że blaszki były skorodowane bardziej niż mocno. Gdy jednak udawało się odcyfrować numer zgodny z bazą danych posiadaną przez Muzeum Gross-Rosen, to zawiadamiano rodzinę zmarłego i dokonywano ponownego pochówku już w miejscu wskazanym przez – nieutuloną w bólu od prawie 75 lat – rodzinę.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Pod auspicjami instytutu kopano też obok byłego budynku Urzędu Bezpieczeństwa w Bielsku Podlaskim. Wszyscy wiedzieli, że tam chowano zabitych, których akty zgonu wydawano rodzinom. Wiadomo zatem było, kto tam spoczywał. Ale podlaski IPN nie po to miał pieniądze na wykopaliska, żeby ich nie wykorzystać.

Cmentarz w Ostrożanach koło Siemiatycz jest miejscem wiecznego spoczynku tysięcy miejscowych. Zdaniem IPN spoczywał tam również zamordowany 20 lub 22 grudnia 1945 r. żołnierz podziemia antykomunistycznego Aleksander Zienkiewicz ps. „Słowik". Zamiast więc dołączyć jego nazwisko do listy leżących tam nieboszczyków, rozkopano kilkanaście innych grobów.

W 1946 r. bracia Zygmunt i Lucjan Marchelowie zostali oskarżeni o nielegalne posiadanie broni oraz przynależność do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Usłyszeli wyrok czapy, a wykonano go od razu. Pod osłoną nocy rodzina pochowała ciała w nieoznakowanej mogile na terenie cmentarza w Ciechanowcu, a proboszcz parafii poświadczył to wpisem do księgi zgonów. Po jaką więc cholerę IPN rozkopał kilka okolicznych grobowców? Pewnie po to, żeby prawicowe portale mogły napisać, że w grobie znaleziono dwóch żołnierzy niezłomnych, którzy byli braćmi. Układ szkieletów jest taki, jakby starszy brat przytulał do serca młodszego.

Księgi cmentarne na nekropolii w katowickiej Ligocie-Panewnikach określały dokładnie, że w miejscu takim a takim leżą ci a ci, przywiezieni przez UB. Dla policji historycznej to było za mało. Musiała rozkopać wszystko dookoła, aby dobrać się do kości. Oraz ustalić tożsamość zmarłych, a rodzinom umożliwić godne pochowanie swoich przodków.

Cmentarz Bródnowski jest bodaj największym pochówkowiskiem w Warszawie. Korzystało z niego i UB, gdy chowało w poświęconej wszak ziemi zastrzelonych w pobliskim więzieniu i urzędzie przy ul. Strzeleckiej. Nie jest i nie było tajemnicą, że towarzystwo to grzebano przy murze cmentarnym od strony ul. Rzeszowskiej. Ówczesnym zwyczajem rodzinom oszczędzano tak widoku ciał, jak i ceremonii. Nie omieszkiwano jednak przesłać jej stosownego dokumentu poświadczającego dokonanie żywota. Nie jest zatem sekretem, kto tam spoczywa. Dla Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN to było jednak za mało. Latami rozkopywano więc groby nastawiane tam przez kolejne dziesięciolecia, aby dokopać się do szkieletów z dziurą postrzałową w potylicy. Nikt nie zauważył, że bez sensu jest rozwalanie grobowców, żeby spod nich wyciągnąć kości znanych z imienia i nazwiska osób, które nie wniosą do wiedzy historycznej absolutnie nic nowego?

Przebieranie nogami

IPN i jego władze żyją jak pączki w maśle tylko dzięki temu, że w okolicach aktualnej władzy jest mnóstwo takich, którzy tylko czekają na zmianę prezydenta. Duda ma bowiem prawo weta w stosunku do wszystkiego, co rząd chciałby zrobić IPN, czyli choćby obsadzić instytut swoimi. Bo rząd Tuska nic złego instytutowi nie uczyni. Gdyby bowiem chciał zrobić z IPN to, co zrobić należy, czyli sprowadzić do roli instytutu historycznego badającego dokumenty, mógł wziąć tę pisowską instytucję głodem. Wystarczyło mocno obciąć jej budżet. Duda budżetu zawetować nie mógł.

Zamiast tego państwo dofinansowało w tym roku IPN kwotą o 50 mln zł wyższą niż poprzednio. W 2024 r. instytut ma więc na prowadzenie pisowskiej polityki historycznej niemal 600 mln. zł.

Można mieć pewność, że za kilkanaście miesięcy zamiast zaorania IPN obejrzymy jego odrodzenie pod nowymi, miłymi nowej władzy ludźmi. Takimi, którzy – tym razem w ramach weryfikowania pisowskiej polityki historycznej – zaczną wykopywać wszystkie dotąd wykopane i zakopane truchła.

Choćby po to, żeby udziałem w ich uroczystych pochówkach mógł wykazywać swój patriotyzm następca prezydenta Dudy.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl f1d56f4ada

Kogo żywi Biał

Telewizja, której nikt nie ogląda

Prominentny polityk PO Andrzej Halicki mówił w sejmie, że działania resortu spraw zagranicznych w sprawie stacji Biełsat, które spowodują jej zamknięcie, są *sprzeczne z polską racją stanu i polskim interesem narodowym*. Gadkę taką strzelił pod koniec 2016 r. Ale dziś nic nie mówi.

Zbrodnia to niesłychana

Pewnie dlatego, że ludzie mianowani przez jego formację likwidują właśnie Biełsat i przenoszą jego działalność do TVP World. Żeby tylko. Podległa władzy wykonawczej prokuratura prowadzi śledztwo dotyczące nieprawidłowości przy wydatkowaniu przez Biełsat pieniędzy, a w obronie Biełsatu w jego dotychczasowym kształcie stają organizacje zrzeszające białoruskich dziennikarzy opozycyjnych. W apelu skierowanym do Tuska i Sikorskiego wyrazili obawy, że *Białorusini w kraju mogą stracić jedyną telewizję w swoim języku, którą mogą włączyć w dowolnym momencie, aby usłyszeć i zobaczyć wiadomości, których nie otrzymają nigdzie indziej*.

Resort Radosława Sikorskiego najpierw przyznał Biełsatowi 40 mln zł – o 23 mln zł mniej niż w 2023 r. Następnego dnia MSZ ogłosiło, iż dorzuca 14 mln zł z kwoty przyznanej TVP World.

Razem Biełsat miał dostać z MSZ 54 mln zł – tylko 9 mln zł mniej niż w poprzednim roku. Przez wszystkie lata swojego istnienia w stację Romaszewskiej-Guzy wpompowano ok. 350 mln zł. Co z tego mamy? Politycznie nic, bo jak w Mińsku rządził Łukaszenka, tak rządzi.

Może zatem Biełsat ubogacił nas o wykwalifikowanych migrantów płacących w Polsce podatki i podnoszących polskie PKB? Według Urzędu do Spraw Cudzoziemców w Polsce na koniec 2023 r. w naszym kraju mieszkało prawie 119 tys. obywateli Białorusi, którzy otrzymali dokumenty na legalny pobyt. Centrum Solidarności Białoruskiej w Warszawie podało zaś, że *według nieformalnych szacunków polskich agencji rządowych w Polsce może przebywać obecnie ponad 300 000 obywateli Białorusi*. Prosta kalkulacja pokazuje, że bez dokładania becikowego, 800 plus, budżetowej kasy na przedszkole i kolejne szkoły, dzięki propagandzie i niefajnemu Łukaszence pozyskujemy jednego odchowanego i wykształconego Białorusina za jakieś 1100 zł. Tylko czy aby na pewno zawdzięczamy to Biełsatowi?

Oglądalność z sufitu

Anteny satelitarne ma dziś najwyżej 5 proc. rodzin na Białorusi, czyli talerzy jest tam jakieś 100–150 tys. Wszystkie zaś są ustawione na ichniejsze multipleksy satelitarne. Te z kolei korzystają z zupełnie innych satelitów nadawczych. Takich, na których nie uświadczy się Biełsatu – sztandarowego dzieła współpracy polskiej dyplomacji z polską telewizją publiczną.

Matką chrzestną, matką naturalną, orędowniczką, propagatorką i rzecz jasna beneficjentką tego przedsięwzięcia była jeszcze do niedawna pani redaktor Agnieszka Romaszewska-Guzy. To ona, dzięki koneksjom polityczno-rodzinnym i paru zaprzyjaźnionym Białorusinom, wymyśliła, jak można ułożyć sobie życie, czerpiąc z państwowej kasy.

Z pomysłem stworzenia kanału telewizji satelitarnej adresowanego do widzów na Białorusi pogoniła do władz IV RP. Ideę poparł prezes. Potem poszło jak po sznurku. Za Biełsatem opowiedział się rząd i przystawki PiS. W rezultacie projekt stał się jednym z priorytetów polityki Polski w dziedzinie współpracy międzynarodowej na rzecz demokracji i rozwoju społeczeństwa obywatelskiego. A skoro tak, to głównym źródłem finansowania całego przedsięwzięcia zostało Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Na początek wysupłało z siebie na start drobne 16 mln zł.

Biełsat rozpoczął nadawanie 10 grudnia 2007 r., w Międzynarodowy Dzień Praw Człowieka. Dyrektorem kanału została, rzecz jasna, Agnieszka Romaszewska-Guzy. Do dyspozycji miała około stu osób w kraju i za granicą. I budżet wynoszący w 2008 r. 20,9 mln zł.

Ruszono z przytupem. Inicjatywa zdobyła poparcie władz USA, pomoc w tworzeniu programu zadeklarował rząd Litwy, a chęć współpracy wykazały Czechy i Irlandia. Komisja Europejska sfinansowała program „Okno na Europę", który miał za zadanie promować Unię na Białorusi.

Ochom, achom i cmokaniom nie było końca. Zachwytom nad osiągnięciem Romaszewskiej nie zaszkodziło nawet i to, że Biełsat docierał na Białoruś za pośrednictwem satelity Astra 1KR, który miał to do siebie, że na większości obszaru Łukaszenkolandii nie dawało się go odbierać.

Złym językom odpór dawała podawana przez Romaszewską statystyka. Ta zaś wskazywała, że Biełsat rządzi.

Mimo że nie był dostępny w żadnej sieci kablowej, platformie telewizji cyfrowej, ani satelitarnej na Białorusi, Biełsat po roku miał mieć już 200 tys. widzów. Po dwóch latach regularnie oglądało program ponoć 190 tys. dorosłych Białorusinów, 440 tys. – od czasu do czasu, 160 tys. miało zamiar wkrótce zacząć oglądać, a 695 tys. chciałoby oglądać, ale nie miało możliwości materialnych lub technicznych.

W normalnych krajach telemetrią, czyli sprawdzaniem, ile osób gapi się i na co w telewizorze, zajmują się audytorzy o statusie międzynarodowym i takimż zaufaniu. W przypadku Biełsatu badaniami oglądalności zajmowało się zaprzyjaźnione z Biełsatem Niezależne Centrum Socjologiczne Zierkało-Info. Wyniki z Białorusi musiały być iście porażające, bo zaskutkowały tym, że z całej hecy wyskoczyli Litwini, a Komisja Europejska program „Okno na Europę" przekazała Białoruskiej Telewizji Państwowej.

Szefowa wańka-wstańka

W marcu 2009 r. robiący za prezesa TVP Piotr Farfał odwołał Romaszewską z funkcji dyrektora. Zrobił to, bo jak przyznał w jednej z wypowiedzi, nie rozumiał powodów, dla których TVP miałby finansować stację Biełsat. Wywiódł ze statutu i ustawy o RTV, że polska telewizja publiczna nie jest zobowiązana do produkowania kanału obcojęzycznego dla ludności niepolskiej. A tak w ogóle to jeśli rząd chce mieć taki kanał, to powinien płacić za niego w 100 proc.

Po tych enuncjacjach u Farfała pojawili się ludzie z MSZ. Obiecali dosypanie kaski i Romaszewska wróciła na stołek.

Dlaczego MSZ Sikorskiego tak szastało szmalcem? Po pierwsze miało na to fundusze zapisane w budżecie. Po drugie istniało prawdopodobieństwo, że może na to dostawać kasę z zupełnie innego źródła.

Od 2012 r. obowiązywała w USA Ustawa o Demokracji i Prawach Człowieka na Białorusi, rozszerzała ona nieco zapisy wcześniejszych ustaw z 2004 i 2006 r. umożliwiających Stanom zwalczanie Łukaszenki. Widniał w niej taki zapis: *W opinii Kongresu, prezydent powinien kontynuować swoje wsparcie dla nadawania radiowego, telewizyjnego czy internetowego w językach mówionych na Białorusi przez Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, Europejskie Radio dla Białorusi i Biełsat*.

Nazwa Biełsat padła w ustawie amerykańskiej co prawda po raz pierwszy, ale sformułowanie *powinien kontynuować* wiele w tej kwestii mogło znaczyć.

Gdyby rzeczywiście Biełsat był finansowany od początku do końca zza oceanu, to Agnieszka Romaszewska-Guzy zostałaby pierwszą Polką, która wyciągnęła jakiś szmalec z kieszeni Wuja Sama.

Jeśli istniało jakieś wsparcie zza Atlantyku, to widać było ono niewystarczające, bo co roku MSZ handryczył się o dodatkowe miliony w sejmie. A na dodatek hajs na Biełsat wydawała również TVP.

Po 2015 r. bywało różnie. W ciągu ośmiu lat rządów „dobrej zmiany" budżet Biełsatu wzrósł prawie trzykrotnie – z 26 mln zł w 2016 r. do prawie 75 mln zł w 2023 r., choć według Wirtualnych Mediów ostatecznie koszty wyniosły 89 mln zł. Zatrudnienie też wzrosło: z 200 osób w 2016 r. do ponad 300 obecnie.

Najzabawniejsze jednak, że Romaszewska, krew z krwi PiS, po zdobyciu władzy przez tę formację miała pod górkę. To z tego czasu pochodzi wspomniany apel Halickiego, a poseł PO Robert Tyszkiewicz biegał po mediach z prośbą o przyłączenie się do akcji „Ocalić Biełsat". Oficjalnie poszło oczywiście o kasę. Nieoficjalnie zaś o to, że PiS zapałało miłością do Łukaszenki. Marszałek senatu Stanisław Karczewski opowiadał o nim jako o ciepłym człowieku, a ówczesny wicepremier Morawiecki wizytował Mińsk.

Koncepcja była taka: likwidacja telewizji Biełsat w zamian za dopuszczenie na Białoruś TVP Polonia i legalizację Związku Polaków na Białorusi. Rząd Szydło postawił na szali faktyczną likwidację tej telewizji, bo chciał ogłosić sukces w postaci polepszenia stosunków z Mińskiem.

Ja nie chcę grać z Białorusinami. Ja chcę się z nimi ułożyć. Czy po dziesięciu latach funkcjonowania Biełsat polepszył relacje polsko-białoruskie? – pytał ówczesny szef dyplomacji Witold Waszczykowski.

Ani on, ani Szydło nie wiedzieli, z kim się kopią. Romaszewska miała matkę – doradczynię Dudy i starą zażyłość z Kaczyńskim. Po paru miesiącach mogła powiedzieć „Rzepie": *Otrzymaliśmy poparcie Jarosława Kaczyńskiego. Nie ukrywam, że zwróciłam się do niego w tej sprawie, ponieważ uważam, że Biełsat jest częścią polityki wschodniej, prowadzonej przez jego zmarłego brata*.

Polityka miłości PiS z Łukaszenką się skończyła, a w kolejnych latach zarówno internetowe, jak i satelitarne wydanie Biełsatu zostały na Białorusi uznane za ekstremistyczne i ścigane z mocy prawa. Przepisy te oglądalności kanałowi nie przysporzyły.

Dobre, bo opozycyjne

Nie tylko one. Biełsat po prostu nie jest atrakcyjny. Głównie ze względu na białoruskie gadające głowy. Ile razy wchodziło się na produkcję Romaszewskiej, trwała tam zajadła dyskusja. Można domniemywać, że programy telewizyjne robi się pod określonego widza. Skoro tak, to widz białoruski musi być widzem specyficznym. Na całym świecie publicystyka ma promile zaprzysięgłych miłośników. Ludzie włączają telewizory głównie dla rozrywki. Trucie starszych panów bawić może jedynie ich samych.

Dowodziły tego miarodajne pomiary telemetryczne międzynarodowych audytorów sprzed 10 lat, bo potem Łukaszenka towarzystwo pogonił. W pierwszej dwudziestce najczęściej oglądanych na Białorusi programów dominowała rozrywka, sport, muzyka i programy popularnonaukowe. 18. miejsce zajmował kanał „Ochota

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pisowski eurodeputowany Dominik Tarczyński poleciał do Ameryki, żeby wziąć udział w konferencji Eagle Council, konserwatywnej organizacji pozarządowej, tradycyjnie wspierającej republikanów. Tym razem do wsparcia był kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych Donald Trump.

Tarczyński chodził po polu golfowym, robił zdjęcia (żeby mieć co publikować w mediach społecznościowych) i przemawiał. O tym, co mówił, napisał na X prezes Eagle Council, Ed Martin: *Poseł do Parlamentu Europejskiego z Polski Dominik Tarczyński mówił, że możemy wygrać, jeśli będziemy walczyć.*

Ta konkluzja jest tak głęboka jak bagno, w którym zwykł taplać się Tarczyński – typowy karp niemogący się doczekać świąt Bożego Narodzenia.

Gdy mamusi

Z każdym małym trupkiem powraca dyskusja o pieczy naprzemiennej.

Na początku sierpnia media obiegła informacja o głodowej śmierci trzyletniej niepełnosprawnej mieszkanki Siedlec. W kraju, w którym przemoc wobec dziatwy jest powszechna jak próchnica, wiadomość o kolejnym zapuszczonym/skatowanym/wyruchanym – niepotrzebne skreślić – smarku pewnie przeszłaby bez większego echa, ale nie tym razem. Rażących zaniedbań, które doprowadziły do zgonu dziewczynki, dopuściła się matka. Prawdziwym zaś gwoździem programu był fakt, że ojciec dziecka, którego kobieta skutecznie izolowała od córki, zaniedbania zgłaszał odpowiedniej instytucji – bezskutecznie. Sejmowe ogary natychmiast rzuciły się do padliny.

Gnij, maleńka

Stwierdzenie, że trzyletnia Emilka nie miała szczęścia w życiu, byłoby eufemizmem. Dziecko od urodzenia cierpiało na kilka schorzeń, nie mówiło, nie chodziło i na nieszczęście dla swojej rodzicielki uparcie żyło. Dziewczynką opiekowała się matka, która jest w trakcie rozwodu z ojcem dziecka. Podczas składania wyjaśnień w prokuraturze 25-latka żaliła się, że udział ojca w życiu małej ograniczał się jedynie do regularnego płacenia alimentów. Ciężar opieki nad blond warzywkiem był wielki, a kiedy mamusia poznała nowego partnera, stał się wręcz niemożliwy do udźwignięcia. Nic dziwnego, motyle w brzuchu i kaleki bachor kiepsko się komponują. Na domiar złego tatuś małej za bardzo zaczął się wpierdalać między wódkę a zakąskę, bo po niezapowiedzianej wizycie zgłosił urzędnikom siedleckiego GOPS-u, że Emilka pod opieką matki raczej nie kwitnie. W mieszkaniu miał być syf, w lodówce tylko światło, a dziecko było brudne. Mężczyzna chciał zabrać córkę do siebie. Urzędnicy zgłoszenie przyjęli, ustalili z matką termin wizyty, tak by ta zdążyła ogarnąć kuwetę i po kontroli nie stwierdzili nieprawidłowości. Nieroztropne działanie ojca sprawiło, że córkę zobaczył rok później

eprasa.pl f1d56f4ada

oruś

i rybalka” (Myślistwo i wędkarstwo) oczywiście po rosyjsku, jak 13 programów z pierwszej dwudziestki. Żaden z telemetrów nie natknął się na coś, co nosiło nazwę Biełsat.

Nie przeszkadzało to Romaszewskiej snuć wynurzeń o 240 tys. stałych widzów i kolejnych 600 tys. sporadycznych. Nie przeszkadzało też w tym, by rozpowszechniać informacje, że rozpoznawalność marki Biełsat na Białorusi wynosi 90 proc. Znaczy, że 9 z 10 Białorusinów wiedziało, co to jest Biełsat.

W roku 2013 działacze opozycyjnej do Łukaszenki Fundacji Renesans przeprowadzili badania w obwodach brzeskim, mińskim, witebskim oraz mogilewskim. Tysiącu osób zadawano wyłącznie jedno pytanie: czy chociaż raz oglądali Biełsat?

Pozytywnych odpowiedzi uzyskano tylko dwie. A jedna z tych dwóch osób przyznała się, że oglądała fragment programu Biełsatu w internecie. Na podstawie tych danych

Fundacja Renesans oceniała, że w najoptymistyczniejszej dla twórców Biełsatu wersji natknęło się nań w całej Białorusi góra 20 tys. osób.

Nijak się to miało do oficjalnych zapewnień, że programy Biełsatu oglądał niemal co drugi posiadacz anteny satelitarnej na Białorusi, a tylko 10 proc. właścicieli anten nigdy nie słyszało o Biełsacie.

W tym samym 2013 r. weszło w życie postanowienie Rady Ministrów Republiki Białorusi regulujące zasady montażu anten satelitarnych w budynkach wielorodzinnych. Zgodnie z dekretem, aby legalnie zainstalować antenę na balkonie, właściciel lub najemca mieszkania musi uzyskać pozwolenie komitetu wykonawczego, zawrzeć umowę z firmą projektową dotyczącą instalacji anteny, poczekać na decyzję specjalnej komisji odbiorczej, a następnie zainstalować sprzęt. Talerzy w blokach nikt od tej pory już nie montuje.

Stacja od lat chwaliła się, że *Biełsat to telewizja, którą tworzą Białorusini dla Białorusinów, w ich ojczystym języku*. Prawda zaś od zawsze jest taka, że jak ktoś chce jej programy obejrzeć w telewizorze, to najlepiej w Polsce. Kanał jest w ofercie największych polskich kablówek. Jego oglądalność wynosi zaś tyle, że jest absolutnie niemierzalna.

Skoro zatem Biełsatu nie ogląda się ani w Polsce, ani na Białorusi, po cholerę wyrzucamy w błoto dziesiątki milionów złotych rocznie? Za taką kasę można by przeprowadzić fajny program imigracyjny, dzięki któremu Łukaszenka miałby w swoim kraju dużo miejsc pracy dla tych, których sprowadza do siebie z Azji i północnej Afryki. My zaś zdobylibyśmy bliskich kulturowo i karnacyjnie fachowców, w których edukację nie włożylibyśmy ani złotówki. Tyle że Romaszewska-Guzy tylko w 2023 r. nie zarobiłaby ponad 360 tys. zł.

TOMASZ BOROWIECKI

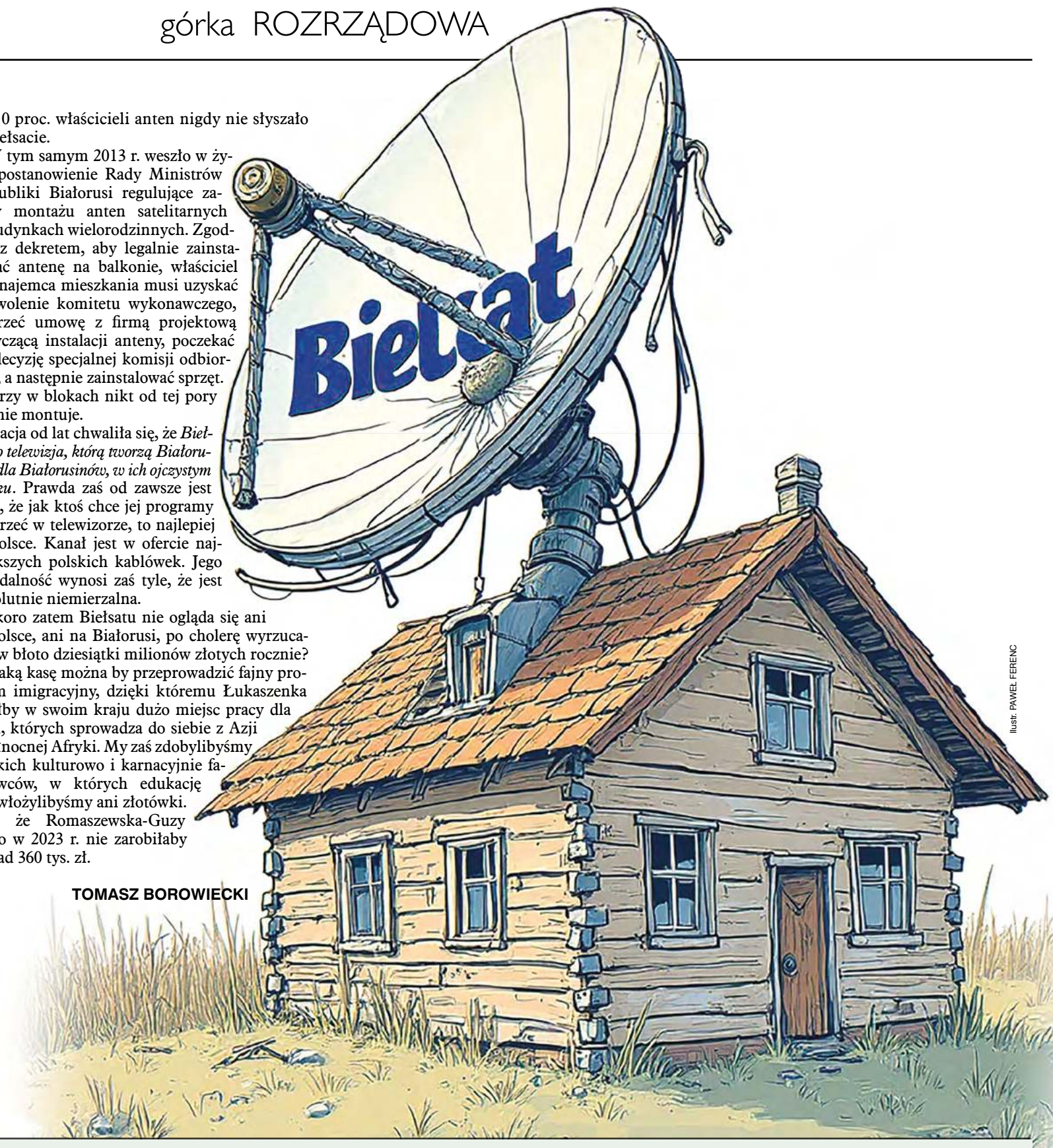

Ilustr. PAWEŁ FERENC

ia daje dupy

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

kiedy odbierał jej zwłoki. Matka przez ten czas uniemożliwiała mu widzenie z dzieckiem. Dzieciak wskutek niedożywienia i braku rehabilitacji był tak skrajnie wyniszczony, że ojciec go nie poznał. Kobieta usłyszała zarzuty znęcania się nad córką, ale kwalifikacja czynów może się zmienić po uzyskaniu przez śledczych laboratoryjnych wyników sekcji małego trupka. Gwoli ścisłości, zarzuty mogą być poważniejsze, chociaż i tak jest już grubo, bo kiedy pozostawiona samotnie w mieszkaniu Emilka konała z głodu, pragnienia i chorób, jej mama bawiła się nad morzem z nowym chłopakiem. 30 lipca do sieci wrzucili wspólne zdjęcie z plaży, a dzieciak wyciągnął kopyta w nocy z 1 na 2 sierpnia. 25-latka miała też wysłać do nowego kochanka SMS o treści: *jeszcze nie zdechła*. W końcu się udało. Kobieta pytana przez śledczych, dlaczego nie zapewniła córce opieki na czas swojego wyjazdu, milczała, albo nie umiała tego wytłumaczyć. Bywa.

Ojciec dziecka opublikował łzawy post pożegnalny na Facebooku, społeczeństwo zwyzywało matkę sadystkę od kurew, a posłanki i posłowie ruszyli na polityczny żer. Nic tak nie rozpala wojny damsko-męskiej jak prawo do pieczy.

Każdy wuj ma swój strój

Wiceprezes Nowej Nadziei i poseł na sejm Bartłomiej Pejo, poruszony do głębi zgonem trzylatki, uznał za zasadne, by w tych okolicznościach przyrody przypomnieć o pomyśle przywrócenia kary śmierci. Zreflektował się również nad utrudnianiem kontaktów ojcu z dzieckiem. *Takich historii, gdzie dziecko jest odcinane od jednego z rodziców, jest mnóstwo. Sądy zazwyczaj pozostają bierne, a czasem wręcz stają po stronie osoby alienującej. W tym przypadku finał sprawy był tragiczny. Potrzeba gruntownej zmiany wymiaru sprawiedliwości* – napisał w swoich social mediach. To w pipę zabawne, bo założony w poprzedniej kadencji sejmu Parlamentarny Zespół ds. Przeciwdziałania Alienacji Rodzicielskiej składał się z politycznych kumpli posła Pejo z Konfederacji (Grzegorza Brauna, Dobromira Sośnierza, Janusza Korwin-Mikkego, Roberta Winnickiego i jednego rodzynka z Koalicji Obywatelskiej Tomasza Głogowskiego), przez przeszło trzy lata zebrał się cztery razy i gówno ustalił. No, ale wiadomo, fajnie pogadać i złapać kilku frajerów na puste obietnice. Nieco prężniej działa założony w listopadzie ubiegłego roku Parlamentarny Zespół ds. Reformy Prawa Rodzinnego. Na jednym z posiedzeń omawiano nawet sytuację dziecka w obliczu konfliktu rodzicielskiego i przemocy poseparacyjnej. Nie mam jednak dobrych wiadomości dla tatusiów. Po pierwsze, w zespole zasiadają same panie, zatem panowie posłowie spuścili temat po brzytwie. Przewodniczącą zespołu jest posłanka Anita Kucharska-Dziedzic z Lewicy, która wbrew lewicowej idei równości jest w fazie nieskrywanej mizoandrii. Pomocną poselską rękę wyciąga tylko do matek pragnących odizolować swe dzieci od nieudolnych, a często niebezpiecznych ojców. Tatuś Emilki nie miałby czego u pani posłanki szukać. Bo jak pisała ongiś w swoich social mediach: *Więc tak, są źli ojcowie i złe matki, są kłamiące dzieci. Ale nie ma alienacji rodzicielskiej, jest tylko teoria zamykająca usta ofiarom przemocy, dyscyplinująca zbuntowane przeciwko patriarchatowi kobiety i karząca zbuntowane przeciw obowiązkowi kochania rodziców dzieci*. Kucharska-Dziedzic poproszona o skomentowanie sprawy Emilki w serwisie X nie przełknęła żaby i wykręciła zawoalowany temat na swoją mańkę: *W Norwegii nie ginie z rąk rodziców ani jedno dziecko. W Polsce zakatowane, zagłodzone i zaniedbane zostaje jedno dziecko w każdym tygodniu. A kilkanaścioro tygodniowo doznaje trwałego uszczerbku na zdrowiu. Milion polskich dzieci nie dostaje alimentów. Tylko kilka procent spraw z 207 kk dotyczy znęcania się nad dziećmi. Bo władza rodzicielska jest święta. A polskie dziecko łatwiej trafi do pieczy zastępczej karnie – bo nie chce się widywać z rodzicem, niż ratunkowo – bo rodzic bije czy głodzi (…)* – stwierdziła i pochwaliła norweski Barnevernet. Ciekawe, czy gdyby Emilka umiała mówić, powiedziałaby, czy chce się bodaj z kochaną mamusią widywać, o wspólnym mieszkaniu nie wspominając. Niestety, władza rodzicielska matki w jej przypadku była święta.

Ochłapy i kąski

Uczciwie trzeba przyznać, że ojcowie, którzy po rozpadzie związku akurat chcieliby równego podziału opieki nad dzieckiem, mogą się kąsnąć w dupę. Chociaż opieka naprzemienna nieco zyskuje na popularności, aby było możliwe jej ustanowienie, muszą wystąpić ściśle określone okoliczności: zgodny wniosek rodziców, zawarte między nimi porozumienie, ewentualnie – przy braku zgody jednego z rodziców – orzeczenie sądu, choć są to sytuacje niezwykle rzadkie. Wystarczy zajrzeć na dowolne forum prawnicze w internecie, żeby zrozumieć, jak bardzo klimat w kraju nad Wisłą nie sprzyja takim rozwiązaniom. Adwokaci chętnie nakręcają potencjalne klientki na spuszczenie tatusia w kiblu, nawet jeśli prawidłowo wywiązuje się z rodzicielskich obowiązków, i sprowadzenie go do roli alimentacyjnego bankomatu.

Pojęcie „rodzice” rozmydla się na matkę i dawcę spermy, który będzie organizował wakacje i zabierał gluta na kilka dni w miesiącu do siebie, a czasem – wcale nie widywał dziecka, bo mamusia sobie tego nie życzy.

Żeby pójść na sądowe udry z rodzicielką bachora, trzeba dobrego adwokata i konkretnych pieniędzy. Same sądy też nie mają lekko, bo choć instytucja pieczy naprzemiennej jest stosowana od lat, to ustawodawca wciąż nie uregulował tej kwestii w Kodeksie rodzinnym i opiekuńczym, a sędziowie mają bardzo różne stanowiska w zakresie orzekania takiej formy opieki. Tymczasem, jak powszechnie wiadomo, to właśnie konflikty na tle sprawowania opieki nad kaszojadem i niemożność osiągnięcia przez rodziców kompromisu są jednymi z głównych powodów przedłużania się postępowań w sprawach rozwodowych i rodzinnych oraz niewykonywania prawomocnych wyroków przez nieakceptujące je strony. Krótko mówiąc, orzeczenia sądu oparte na jednoznacznych regulacjach mogłyby ukrócić często podnoszone zarzuty o dyskryminacji przez sąd jednego z rodziców. Na tę kwestię wielokrotnie zwracał uwagę rzecznik praw obywatelskich, niestety bez echa. Kwestia instytucjonalnego wręcz odsadzenia ojców od prawa do równej opieki nad dziećmi to dobre pole do popisu dla minister do spraw równości Katarzyny Kotuli, która – w co ufam – mogłaby nadać właściwy kierunek dyskusji na ten temat, w ślad której pojawiłyby się konkretne rozwiązania legislacyjne. Bo jak widać nie tylko społeczeństwo, ale i posłów trzeba oduczyć genitalnego zacietrzewienia, by zlikwidować wyrosłe na nim patologie.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl f1d56f4ada

Księża zdolni do

Mamy w Polsce przechlapane. Wodą święconą.

Zdawało się, że czas największej popularności machania kropidłem mamy już za sobą. Polska się przecież laicyzuje, a szamańskie gusła nie komponują się zbytnio z nowoczesnym społeczeństwem. Nic bardziej mylnego: w ciągu ostatniego miesiąca medialnymi tematami dnia, a nawet tygodnia były katolickie obrzędy. Tym razem nie chodziło jednak tylko o zabobony, a o rozgłos właśnie.

Orlen i Caritas

Zaczęło się od Daniela Obajtka. Sporym wydarzeniem jest zobaczyć tego jegomościa w Polsce, więc nie dziwota, że jego pobyt w ojczyźnie był szeroko relacjonowany i komentowany. Były prezes Orlenu przyjechał do Rzeszowa, żeby otworzyć swoje biuro poselskie i zapewnić, że będzie go teraz można spotkać w Polsce, co podczas kampanii do Europarlamentu było nie lada wyczynem. Europoseł Obajtek zaprosił na uroczyste otwarcie księdza dyrektora Caritas Diecezji Rzeszowskiej Piotra Potyrałę. Jak widać, skłonność do szefów dochodowych instytucji mu pozostała. Na pamiątkę dostał obrazek z papieżem (naturalnie TYM papieżem). W przypadku Obajtka nie powinno dziwić, że zaprosił klechę. W końcu to pisowiec, źle by wyglądało, gdyby nie zaprosił. Lepiej niech chrzci biuro niż paliwo. Przed uzyskaniem immunitetu żalił się, że *wytrzymał w tym piekle 6 lat* – mając na myśli Orlen. Z takim stażem w gościnie u diabła rekomendujemy egzorcystę. Może np. ks. „Salcesona"? Choć mogą być problemy z przepustką.

Rys. TOMASZ WIATER

Kościół i agencja

Kolejnym celebrytą, który wynajął celebransa do swojego show był Krzysztof Rutkowski. Jedynym dotychczasowym jego związkiem z Kościołem był fakt, że poderwał zakonnicę i stworzył z nią parę. Małżeństwo, podobnie jak śluby czystości wybranki, nie przetrwało próby czasu. Rutkowski tym razem nie stanął na ślubnym kobiercu, ale święcił coś, co kocha najbardziej, czyli swoje auta. Fury z napisem „Rutkowski Patrol" stanęły przed kościołem św. Stanisława Kostki w Aleksandrowie Łódzkim. Tamtejszy ksiądz poświęcił je w ramach wspomnienia św. Krzysztofa, patrona kierowców i właściciela kropniętych samochodów. W świątyni zaś towarzyszyli „Rutkowi" uzbrojeni pracownicy jego agencji detektywistycznej.

Sam duchowny jest nie mniej barwną od detektywa postacią. Działa na własną rękę – kuria łódzka już dawno zerwała z nim związki, bo w 2013 r. nie mógł się dogadać z abepe Markiem Jędraszewskim, gdy ten był jeszcze metropolitą łódzkim. Stał się wówczas pozytywnym bohaterem mediów, był nawet gościem Tomasza Lisa w TVP. *Kwestia posłuszeństwa nie jest bezdyskusyjnym, bezkrytycznym przyjmowaniem poleceń. Od nieposłuszeństwa, w dobrym tego słowa znaczeniu, zaczynały się wszelkie zmiany* – mówił wówczas. Nie dogadał się też z następcą Jędraszewskiego, kard. Rysiem. Wisi mu to, bo ma swój własny, prywatny kościół. Świątynia, pod którą zajechał Rutkowski, to dawna świątynia ewangelicka. Odkupiła ją fundacja Stasiaka. Oprócz prywatnego kościoła ten zawieszony duchowny posiada w swoim portfolio także prywatną szkołę, przychodnię i księgarnię.

Stasiak jest wszechstronny i obrotny – z głodu nie umrze. Nie musi kurii o nic prosić, ani tym bardziej się z nią dzielić. Rutkowski z kolei robi wiele, żeby zaistnieć – i znowu mu się udało. Swoją drogą on też ma cofnięte uprawnienia detektywa, więc dobrali się ze Stasiakiem jak w korcu maku.

Budka i McDonald's

Pozazdrościł Rutkowskiemu Filip Chajzer. Znany głównie z ojca i kompromitujących wpadek celebryta otworzył niedawno kolejną budkę z kebabem. Śledzący trendy syn Zygmunta uznał widocznie, że skoro o Rutkowskim było głośno, to i on zapewni sobie kolejne minuty sławy tym razem z użyciem kropidła. Ogłosił w mediach społecznościowych, że szuka czarownika, który mu tę budę z fast foodem poświęci. *Szukam księdza. Jeśli znasz fajnego księdza, a może jesteś fajnym księdzem, to w sobotę na Ursynowie otwieram mój nowy punkt i chciałbym go poświęcić. Dziękuję bardzo. Chciałbym powiedzieć: tylko poważne oferty, ale chyba nie wypada. To czekam. Dziękuję z góry za pomoc* – zaapelował w sieci. Współcześni księża nie stronią od blasku fleszy, więc szybko znalazł się taki, co wpadł z wodą święconą, żeby ludzie w pobłogosławionym lokalu mogli zamawiać kebsa na grubym cieście z mięsem mieszanym. Do specyfiki przybytku nawiązał ks. Karol Oparcik. *Ta budka z kebabem może łączyć nie tylko religię, ludzi, ale także różne kultury. I niech tak będzie, niech ci, którzy tu pracują, niech ci, którzy będą tutaj spożywać, cieszą się tym jedzeniem. Niech zawierają nowe znajomości. Zachęcam też do tego, abyśmy częściej byli dla siebie mili i doceniali pracę innych ludzi* – mówił w przemówieniu poprzedzającym rytuał pokropienia. Nie wiadomo, czy spełnią się życzenia księdza, ale na pewno spełniło się marzenie Chajzera, żeby ludzie znowu o nim mówili. *I tutaj nie ma ani grama, nawet półgębkiem, uśmiechu z tego poświęcenia. To jest naprawdę dla mnie bardzo ważne!* – sam właściciel mówił z powagą, jakiej wymaga myśl o pieniądzach.

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Patrzę na całe dzieło Radia Maryja i jego środowiska z wielką nadzieją (…). **Podczas jednej z rocznic Radia Maryja powiedziałem, że ono jest potrzebne, bo jest gwarantem pluralizmu mediów** (…). Jako ludzie wiary mamy prawo mieć głos, który będzie mówił o Ewangelii, teologii, historii, wartości życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Bogu dziękuję, że to Radio jest, nadaje i mam nadzieję, iż nadal będzie spełniało swoją funkcję.*

bp Wiesław Śmigiel, Radio Maryja, 13 sierpnia

■ ***Cała fala deprawacji, najpierw poprzez oderwanie dzieci od religii, a potem wprowadzanie takich pomysłów jak edukacja seksualna według standardów WHO, jak namawianie dzieci do tego, żeby brały hormony, (…) jak sprawa tranzycji, czyli zmiany płci, to wszystko już jest dzisiaj w planach i konsekwentnie będzie realizowane.** Chcą wychować ludzi, którzy kompletnie nie będą się posługiwali rozumem, nie będą żyli według wartości cywilizacji chrześcijańskiej, a będą przynależeć do cywilizacji śmierci (…). **Jest to efekt pomysłu rewolucji lewackiej na niszczenie życia i mordowanie ludzi, który jest cały czas wcielany.***

Barbara Nowak, Radio Maryja, 12 sierpnia

■ ***Nauczanie religii jest nakreśleniem bardzo ważnych horyzontów kulturowych, etycznych, moralnych.** To jest taki przewodnik w życiu przy podejmowaniu najważniejszych decyzji. (…) Lekcja religii sprzyja pewnemu integralnemu spojrzeniu na ludzkie życie.*

ks. prof. Piotr Roszak, Radio Maryja, 10 sierpnia

■ ***Ukąszenie heglowskie w odmianie dzisiejszych modnych ideologii** wdarło się do milionów umysłów.*

ks. Daniel Wachowiak, X, 10 sierpnia

■ ***Chrześcijaństwo powinno być codziennością.** (…) Nie dajmy sobie wmówić, że człowiek najlepiej pracuje wtedy, gdy nie nosi medalika z Matką Bożą czy gdy na jego biurku nie stoi obrazek ze św. Michałem Archaniołem. **Nie akceptujmy sytuacji, gdy ktoś do biskupa czy księdza mówi „proszę pana".** Niech naszego myślenia nie zmąci ktoś, kto rzuci wybiórczym cytatem z Pisma Świętego, ale tylko po to żeby dołożyć „katolom". **Nie da się żyć i budować świata bez Boga. Każda próba obejścia się bez Boga kończy się źle.***

bp Mirosław Milewski, Niedziela.pl, 15 sierpnia

■ *Jeżeli sprawy będą szły w tak stachanowskim tempie, to niedługo spodziewajmy się rozporządzeń w kwestii zakazu organizacji jasełek, wigilii klasowych, a może i zdejmowania krzyży w szkołach (…). **Walka idzie o duszę Polaków, czy będziemy nadal narodem, który stworzył wielką i piękną kulturę na fundamencie wartości chrześcijańskich, gdzie tradycje katolickie, takie chociażby jak łamanie się opłatkiem jako znak pojednania i pokoju, będą szanowane i przekazywane z pokolenia na pokolenie, a historia Kościoła będzie obiektywnie nauczana,** (…) czy oddamy wychowanie naszych dzieci w ręce paru procent **ateistów i antyklerykałów, którzy mają obecnie swoją nadreprezentację we władzach oświatowych.***

Dariusz Kwiecień, rzecznik Stowarzyszenia Katechetów Świeckich, opoka.pl, 8 sierpnia

■ *Na otwarciu igrzysk olimpijskich w Paryżu byliśmy świadkami właśnie wielkiej profanacji świata chrześcijańskiego. Do tego w naszym kraju chce się wszystko zrobić, by „wyrwać Boga z serc dzieci". Dzieje się to poprzez nowe regulacje dotyczące nauki religii w szkołach. (…) **W różnych kontekstach wracają do nas upiory przeszłości z 1920 r., kiedy to władze bolszewickie chciały podboju Europy i świata, by zapanował w nich świat bez Boga.** Trzeba na nowo podjąć modlitwę za naszą ojczyznę, za Polskę – kraj katolicki.*

abp Marek Jędraszewski, homilia w Ludźmierzu, 15 sierpnia

Rys. OBYWATEL JANEK

■ *Pokusa manipulacji tym, co zostało przez Boga zaplanowane, stworzone i nam podarowane, nie zakończyła się w czasach biblijnych. Przybiera wciąż nowe formy. A przecież **małżeństwo mężczyzny i kobiety oraz nierozerwalność ich związku nie jest ludzkim, lecz Boskim pomysłem. Nie zmienią tego ideologiczne manipulacje Bożym zamysłem i ludzką naturą.***

ks. Janusz Chyła, Opoka.pl, 16 sierpnia

KLECHA

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Doskonałe wieści z woj. śląskiego. Sąd Okręgowy w Częstochowie nie znalazł okoliczności łagodzących i utrzymał w mocy wyrok czterech lat i dwóch miesięcy pierdla dla Stanisława Ś., byłego wikarego w jednej z częstochowskich parafii, za seksualne wybryki wobec dwóch nieletnich dziewcząt. Mężczyzna, oprócz posługi duszpasterskiej w jednym z kościołów na częstochowskim Osiedlu Tysiąclecia, pracował również jako katecheta w szkole podstawowej. W 2022 r. na podstawie zeznań 16-letniej dziewczyny postawiono mu zarzuty doprowadzenia do innych czynności seksualnych nieletniej przed ukończeniem 15. roku życia, potem wykorzystywanie w stosunku zależności oraz prezentowanie nieletniej treści pornograficznych. W trakcie śledztwa zgłosiła się kolejna poszkodowana, która w latach 2016–2018, mając już 16 lat, pozostawała w intymnej relacji z księdzem. Duchowny m.in. rozpijał nastolatkę i nagrywał, jak się masturbowała na jego życzenie, za co postawiono mu kolejne zarzuty. 8 sierpnia sąd wydał prawomocny wyrok w sprawie Stanisława Ś. Eksduchowny został uniewinniony w kwestii rozpijania małoletniej. Tym samym wyrok za łącznie pięć przestępstw został utrzymany.

✚ Jak donosi „Gazeta Wyborcza", przy Świątyni Opatrzności Bożej w warszawskim Wilanowie powstaje nietypowa inwestycja. Stołeczna kuria, idąc z duchem czasu, rozpoczęła budowę wysokiej na 14,5 m turbiny wiatrowej, jak się okazuje, bez wymaganych zezwoleń. Miejscowy plan zabudowy zakłada, że teren, na którym zlokalizowana jest świątynia, może być przeznaczony „pod obiekty kultu religijnego, nauki i kultury". Zgodnie z przepisami maksymalna wysokość świątyni może wynosić do 75 m, pozostałe obiekty położone na tym terenie mogą mieć maksymalnie 14,5 m. Nie zwalnia to jednak inwestora z wymogu uzyskania pozwolenia na budowę takiej instalacji, natomiast władze świątyni rozpoczęły inwestycję jedynie na podstawie zgłoszenia budowy. Radni Wilanowa zamierzają złożyć interpelację, żeby sprawdzić, czy inwestycja jest zgodna z obowiązującymi przepisami prawa budowlanego oraz czy nie będzie mieć negatywnego wpływu na najbliższe otoczenie. Zamiast wiatraka proponujemy budowę repliki Jezusa ze Świebodzina z panelami solarnymi na

eprasa.pl f1d56f4ada

poświęceń

Ale kanał!

Dla duchownych to chyba nieco smutna wiadomość, bo przecież zostali instrumentalnie wykorzystani przez celebrytów, którzy z ich szopki zrobili jeszcze większą szopkę. Ale pewnie hajs się zgadza obu stronom, więc nie ma co narzekać. Zresztą nie takie poświęcenia widzieliśmy w Polsce. Było już choćby święcenie McDonalda w Nakle, które w 2018 r. zrobiło w sieci nie mniejszy szał niż Chajzer i Rutkowski. Właściciel knajpy tłumaczył, że było zapotrzebowanie na huczne otwarcie, a ludność tubylcza jest raczej konserwatywna, więc ksiądz tryskający do frytkownicy ma swoje logiczne umocowanie. Bepe Adam Bałabuch oburzonym i rozśmieszonym tłumaczył zaś w wypowiedzi dla OKO.press, że *zakłady gastronomiczne i restauracje mogą być błogosławione, bo oznacza to dla nich rzeczywistość duchowej korzyści i chroni od złych rzeczywistości nadprzyrodzonych*. Nie dodał, czy chodzi także o sanepid i skarbówkę.

Rys. TOMASZ WIATER

Gwoli sprawiedliwości należy dodać, że podczas otwarcia pierwszego lokalu tej amerykańskiej sieci w Polsce w 1992 r. wstęgę przecinał ówczesny minister pracy i polityki socjalnej Jacek Kuroń. Na okolicznościowym raucie bawiła się zaś choćby Agnieszka Osiecka. Promocja śmieciowego żarcia jest ekumeniczna i ponad podziałami.

Poświęcenie „Maka" czy nawet budy z kebabem może i jest groteskowe oraz niezbyt prestiżowe, ale ma więcej wdzięku niż kropienie włazów kanałowych, a i takie uroczystości mieliśmy w Polsce. Największa tego typu impreza odbyła się w Łodzi w 2011 r. Rangę wydarzeniu nadała obecność ówczesnego arcybiskupa łódzkiego Władysława Ziółka, który hurtem kropnął 4000 włazów. Jeden z nich nazwano imieniem św. Faustyny Kowalskiej, patronki Łodzi. Było o tym głośno w świecie, bo temat podłapały zagraniczne bulwarówki. Rutkowski i Chajzer mogą się uczyć od profesjonalistów siedzących w branży ponad 2000 lat.

ELEONORA PRONOBIS

Eksportowi zakonnicy-molestanci z antysemityzmem w tle.

Szemrane towarzystwo

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej Andrzej Duda, postanowieniem z dnia 1 sierpnia 2024 r., na podstawie art. 36 ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 16 października 1992 r. o orderach i odznaczeniach, pozbawił Krzysztofa Kuryłowicza Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski – poinformowała na początku sierpnia Kancelaria Prezydenta. Duda chętniej rozdaje ordery, niż je odbiera, zwłaszcza osobom związanym z Kościołem. Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski uhonorował choćby abepe Marka Jędraszewskiego *za jego wybitne zasługi w pracy duszpasterskiej oraz propagowanie postaw patriotycznych*. Tym razem jednak zabrał patriotyczną błyskotkę, i to katolickiemu misjonarzowi. Bez strachu, że kto daje i odbiera, ten się w piekle poniewiera, bo nie on dawał.

Krzysztof Kuryłowicz to były członek Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Nazywa się ich w skrócie chrystusowcami. Kuryłowicz od lat 90. pracował w Kazachstanie. W ubiegłym roku poznański sąd stwierdził, że były zakonnik wykorzystywał seksualnie niepełnosprawnych, i prawomocnie skazał go na trzy i pół roku pozbawienia wolności oraz pięć lat pozbawienia praw publicznych. Odebrany przez Dudę order dostał w 2011 r. od ówczesnego prezydenta Bronisława Komorowskiego na wniosek ministra spraw zagranicznych Radosława Sikorskiego *za wybitne zasługi w działalności na rzecz środowisk polonijnych i krzewienie polskości w Kazachstanie*. W 2014 r. do władz zakonu chrystusowców wpłynęło pierwsze pismo od poszkodowanej przez Kuryłowicza. W 2018 r. przestał być chrystusowcem i księdzem. *Od samego początku, od momentu zgłoszenia nadużyć, mieliśmy jako zgromadzenie kontakt z poszkodowanymi Krzysztofa Kuryłowicza. Osoby, które dokonały zgłoszenia, zostały otoczone naszą opieką, zgodnie z ich wolą* – powiedział Katolickiej Agencji Informacyjnej ks. Marek Grygiel, rzecznik chrystusowców. Na pewno poszkodowani na nic tak nie liczą jak na opiekę kolegów swojego oprawcy.

Nie jest to pierwszy raz, gdy chrystusowcy muszą świecić oczami za swoich współbraci lub byłych członków. Całkiem niedawno wybuchła afera z ks. Piotrem Glasem, egzorcystą-celebrytą, który został oskarżony o molestowanie nieletnich. Piotr Glas wstąpił do chrystusowców w 1982 r., a w 1992 r. wyjechał pracować wśród angielskiej Polonii. Jak informują władze zgromadzenia chrystusowców, w 2002 r. na własną prośbę odszedł z ich zakonu i przeszedł pod władzę angielskiego biskupa. Kiedy więc w mediach pojawiła się wiadomość, że Glas ma problemy z prawem, chrystusowcy się od niego odcięli. Nie przyznają się też do niego polscy biskupi, bo jest przecież członkiem brytyjskiego kleru. Przez lata jednak bez przeszkód jeździł sobie po Polsce i opowiadał, jak to napierdalał się z Szatanem, przeganiał demony homoseksualizmu, intelektualizmu, pornografii i czego tam jeszcze. Parafie udzielały mu przestrzeni do głoszenia tych bzdur, a teraz polscy księża udają, że nie wiedzą, kto zacz.

Kolejnym słynnym przedstawicielem chrystusowców jest Roman B. W 2008 r. został aresztowany po tym, jak wyszło na jaw, że gwałcił 13-latkę. Rodziców dziewczynki zapewnił, że ogarnie jej dobrą szkołę z internatem, a tymczasem wywiózł ją do domu swojej matki, gdzie wykorzystywał, bił, a także przymusił do aborcji. Został skazany na osiem lat więzienia, przesiedział cztery. w 2018 r. jego ofierze przyznano milion złotych zadośćuczynienia i dożywotnią rentę od chrystusowców. Zakonnicy zapłacili, ale równocześnie złożyli wniosek o kasację wyroku. Rozpatrzony negatywnie.

W czasie rozpatrywania wniosku kasacyjnego do chrystusowców dotarła petycja z 16 tys. podpisów, której sygnatariusze domagali się od księży odstąpienia od starań o kasację, gdyż ze strony zakonu nie zadziałały żadne mechanizmy, które powinny zapobiec takiej sytuacji. Zdarzenie nie miało charakteru incydentalnego, ale trwało przez dłuższy czas.

Ten sam rzecznik, który tłumaczył się teraz za Glasa i Kuryłowicza, mówił wtedy, że on i jego koledzy oczywiście pochylą się nad petycją, ale każdy jest odpowiedzialny za swoje czyny, w związku z tym nie można obarczać całego zakonu za wyskoki jednego z nich. Żeby to jednego…

Ciekawym kontekstem dla powyższych spraw jest to, że chrystusowcy – oprócz skubania Polonii – zajmują się też promowaniem tzw. czystości przedmałżeńskiej. Pod ich kuratelą jest Ruch Czystych Serc – młodzieżowa organizacja promująca katolicką doktrynę seksualności. Chrystusowcy prowadzą dla młodzieży skupionej w ruchu rekolekcje, wydawali też pismo „Miłujcie się!", zawierające pełno „świadectw" nieruchających się przed ślubem młodych ludzi, co ma pozytywnie wpływać na pożycie małżeńskie.

Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej zostało założone w 1932 r. przez kard. Augusta Hlonda. Chrystusowcy od lat starają się, żeby ich założyciel został ogłoszony błogosławionym, a potem świętym, ale jest pewna przeszkoda, mianowicie antysemityzm purpurata. Organizacje żydowskie sprzeciwiają się wyniesieniu Hlonda na ołtarze w związku z jego przedwojennymi publikacjami, w których stwierdzał, że Żydzi są *awangardą bezbożnictwa, ruchu bolszewickiego i akcji wywrotowej*, oraz oskarżał ich o deprawację młodzieży i walkę z Kościołem kat., w związku z czym należy – co najmniej – trzymać się od nich z daleka. Chrystusowcy nie dość, że sami nie są święci, to nie mają swojego świętego, co znacznie obniża ich rangę w klerykalnym świecie.

Historia i współczesność tego zgromadzenia obfitują więc we wszystko, co kojarzy nam się z klerem. I zapewne nie jest to ich ostatnie słowo.

MATT KOBOSKO

ramionach. Chrześcijański Batman przy wyciskarce do cytrusów to byłby widok!

✚ 16 sierpnia Sąd Okręgowy w Toruniu wydał wyrok w sprawie księdza Jacka W. z Unisławia. Duchowny w lipcu 2013 r. podstępem podał 12-letniemu wówczas chłopcu alkohol, następnie zainscenizował mszę świętą, podczas której poświęcił i podarował dziecku różaniec zakładany na palec i obwieścił, że „od tej chwili są mężem i żoną". Klecha doprowadzał małoletniego do obcowania płciowego oraz do wykonywania i poddawania się innej czynności seksualnej. Dramat chłopca trwał do sierpnia 2014 r. W listopadzie 2022 r. 21-letni już mężczyzna powiadomił o przestępstwie kurię diecezjalną w Toruniu. Ks. Jacek W. od lutego 2023 r. przebywał w areszcie. Pedofil w koloratce usłyszał wyrok siedmiu lat więzienia. Dostał również dożywotni zakaz pracy z dziećmi oraz nakaz wypłacenia ofierze zadośćuczynienia finansowego w kwocie 100 tys. zł.

✚ Do wesołej wpadki doszło w szczycie pielgrzymkowym w Częstochowie. 16 sierpnia na jednym z telebimów w centrum miasta został wyświetlony fragment gejowskiego filmu porno. Na facebookowym profilu „Wiadomości Częstochowa" pojawiło się krótkie nagranie, na którym na ekranie wiszącym na centrum handlowym mieszczącym się na skrzyżowaniu Al. Najświętszej Marii Panny i Al. Kościuszki – szlaku pielgrzymów zmierzających na Jasną Górę – widać radosne fikołki dwóch panów. Według nas nie ma się o co oburzać, wszak to piękne filmowe przesłanie o miłości do bliźniego.

✚ Znany z licznych medialnych przedsięwzięć były dziennikarz i aktualny patocelebryta Filip Chajzer postanowił wejść na rynek gastronomiczny. Po otwarciu budy z kebabem na północy Warszawy i lokalu z owocami morza kolejny kulinarny obiekt Chajzera – Kreuzberg Kraft Kebap – pojawił się na Ursynowie. Inaugurację nowego biznesu uświetnił ksiądz Karol Oparcik, który poświęcił kebabową przyczepę. Jak tłumaczył były dziennikarz, *„Kreuz" to jest krzyż, „berg" to góra*, a biznes, który otwierał za ostatnią kasę, stał się dla niego górą, po której wchodzi, więc poświęcenie go jest dla niego naprawdę ważne. Duchowny w ramach podziękowania za posługę otrzymał arabski przysmak. Panu Filipowi proponujemy pójść o krok dalej i wprowadzić promocję: za trzy zdrowaśki 10 proc. zniżki na bułę. Klient syty i kuria szczęśliwa.

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

KLECHA

WIARA CZYNI CZUBA

1. *Jedyną częścią ciała świętego, która wciąż istnieje, jest jego charakterystyczna długa broda, uratowana przez jednego z braci* – donosi z ekscytacją katolicki portal informacyjny CNA z okazji rocznicy śmierci św. Maksymiliana Marii Kolbego. *Dziś relikwia brody Kolbego ma szczególne znaczenie dla ojca Johna Paula Mary, który służy jako kapelan pracowników EWTN*. EWTN – Sieć Telewizyjna Wiecznego Słowa, do której skądinąd należy CNA – jest prowadzona przez franciszkańskich Misjonarzy Wiecznego Słowa. *Bracia przechowują relikwię brody Kolbego na telewizorze podczas nagrywania cotygodniowego programu EWTN „Życie na skale"* – informuje portal, dodając, że w 1939 r. brodę obciął Kolbemu zakonny podwładny i na jego polecenie wrzucił do pieca, ale nie spłonęła, bo w piecu się nie paliło. Cud prawdziwy.

2. Luis Fernando Figari Rodrigo, założyciel Sodalitium Christianae Vitae (Sodalicja Życia Chrześcijańskiego) został decyzją Watykanu wydalony z własnej organizacji. Sodalicja to jedno z ultraprawicowych stowarzyszeń świeckich, które powstawały w Ameryce Łacińskiej w odpowiedzi na lewicową teologię wyzwolenia. W 2017 r. zewnętrzny raport określił Figariego jako jednostkę *narcystyczną, paranoiczną, wulgarną, mściwą, manipulującą, rasistowską, seksistowską, ogarniętą obsesją seksualną*. Raport stwierdzał też, że Figari sodomizował swoich rekrutów i lubił patrzeć, jak *doświadczają bólu, upokorzenia i strachu*. O jego swawolach Watykan słyszał co najmniej od 2011 r., ale ponoć wcześniej nie mógł nic zrobić, bo prawo kanoniczne nie przewiduje kary wydalenia dla założycieli wspólnot religijnych, którzy nie są księżmi.

3. Gubernator Luizjany Jeff Landry broni swojego podpisu pod ustawą, zgodnie z którą od 1 stycznia 2025 r. w każdej klasie każdej szkoły publicznej – począwszy od przedszkoli, kończąc na stanowych uniwersytetach – ma wisieć 10 przykazań wypisanych *dużą łatwo czytelną czcionką* na tablicy *w ramce o wymiarach co najmniej 28 na 36 cm*. Co prawda amerykańska konstytucja zabrania ustalania religii państwowej, ale gubernator nie widzi problemu. – Naprawdę nie rozumiem, o co to całe zamieszanie. Nie wiedziałem, że Dziesięć Przykazań to taki zły sposób na życie – ironizował subtelnie na konferencji prasowej. Rodzicom, którzy zaskarżyli nowe prawo do sądu federalnego, Jeff poradził, żeby powiedzieli dzieciom, że mają na tablicę nie patrzeć.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

4. Robert Jenrick, jeden z kandydatów na lidera Partii Konserwatywnej, postanowił wykazać twardzielstwo wobec protestujących przeciwko ludobójstwu w Gazie. *Uważam, że jest całkiem nie do przyjęcia, że ktoś może krzyczeć „Allahu Akbar" na ulicach Londynu i nie zostać natychmiast aresztowany* – ogłosił były brytyjski minister ds. migracji, dając spektakularny przykład ignorancji. 6 proc. Brytyjczyków – 4 mln ludzi – to wyznawcy islamu, dla których fraza *Allah jest wielki* znaczy dokładnie tyle samo, co *Jezus cię kocha* dla chrześcijan. Jego partyjna koleżanka z Izby Lordów Sayeeda Warsi, skomentowała na X: *Każdego dnia przed rozpoczęciem prac parlamentu odmawiamy modlitwę, w której chwalimy Boga – naszą parlamentarną wersję Allahu Akbar w samym sercu demokracji; proces, którego częścią jest Robert Jenrick. To przygłup*. Amen.

5. 200 osób uczestniczyło w odbywającej się w stanie Illinois dorocznej konferencji organizacji Courage International. CI *oferuje wsparcie duszpasterskie mężczyznom i kobietom, którzy doświadczają pociągu do osób tej samej płci i zdecydowali się żyć w czystości* – wyjaśniają organizatorzy. W programie konferencji znalazły się msze święte, modlitwa różańcowa, całonocna adoracja eucharystyczna, a także wykłady. *Powinniśmy mówić: „Jestem osobą z pociągiem do osób tej samej płci, a moja tożsamość jest w Jezusie Chrystusie". Jeśli użyjemy właściwej terminologii, wszystko staje się jasne* – mówił podczas podczas wykładu na temat *Nauka i uzdrawianie* filadelfijski ksiądz nazwiskiem Tadeusz Pacholczyk, znany z serii esejów „Sens Bioetyki". Jeden z nich, odnotujmy, nosił tytuł „Plastikowa perfekcja? Etyka sztucznego biustu".

eprasa.pl f1d56f4ada

Po co Ukrainie atak na Kursk

Zburzyć pomnik Lenina

Rozpoczęta 6 sierpnia inwazja wojsk ukraińskich na obwód kurski była dla obserwatorów wojny na Ukrainie sporym zaskoczeniem. Tym większym, że władze w Kijowie nie ujawniały przyczyn ani celów ataków. Dopiero w ostatnią niedzielę – 18 sierpnia – Wołodymyr Zełenski obwieścił, że celem operacji jest utworzenie *strefy buforowej na terytorium agresora*. Problem w tym, że cel jest bezsensowny i całkowicie nierealistyczny.

Zmienne plany Rosji

Cele rozpoczętej 24 lutego 2022 r. „specjalnej operacji wojskowej" zmieniały się co najmniej trzykrotnie. Pierwotnie Kreml pragnął błyskawicznie obalić rząd w Kijowie i z nowo powołanymi władzami ustalić drażliwe dla stosunków rosyjsko-ukraińskich kwestie: podtrzymanie neutralności Ukrainy, status spornych terytoriów w Donbasie, uznanie aneksji Krymu, prawa mniejszości rosyjskiej i rosyjskojęzycznych mieszkańców Ukrainy itd. Zdaniem niektórych analityków wystarczyłoby rzucić na Kijów 10–20 proc. więcej żołnierzy, żeby operacja miała szanse powodzenia. Tak się jednak nie stało i Rosja musiała przedefiniować cele – uznano, że administracja Zełenskiego jest partnerem do rozmów, i rozpoczęto negocjacje. Już pod koniec kwietnia 2022 r. były widoki na zakończenie konfliktu, jednak rozmowy zostały niespodziewanie przerwane wskutek – jak ujawnił ówczesny premier Izraela Naftali Bennett – interwencji prezydenta USA Joe Bidena oraz ówczesnego premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona. Po fiasku negocjacji i wymuszonym przez zachodnich przywódców, a ogłoszonym przez Zełenskiego zakazie dalszych rozmów wojna przeszła w obserwowaną do dziś fazę pozycyjną, czyli ścierania się wyposażonych w zachodni sprzęt Ukraińców z siłą militarną Rosji. Podobnie jak w pozostałych wojnach współczesnego świata, zyskują na niej Stany Zjednoczone, a konkretnie jankeski przemysł zbrojeniowy, tracą zaś wszyscy pozostali – Europa, Rosja i oczywiście Ukraina.

Wszyscy pragną pokoju

Cechą charakterystyczną wojen pozycyjnych jest nuda, którą wieje z frontu. Najbardziej emocjonującym wydarzeniem ostatnich dwóch lat wojny była bitwa o 70-tysięczny Bachmut, która nie przyniosła żadnych dalszych konsekwencji. Obywatele Rosji od początku dostrzegali bezsens wojny i popierali rozmowy pokojowe – według badań Centrum Lewady, prowadzonych od września 2022 r., liczba Rosjan popierających negocjacje stale przeważała nad tymi pragnącymi kontynuowania działań wojennych. Ostatni sondaż przeprowadzono w lipcu 2004 r. i wynika z niego, że rozmowy pokojowe popiera 58 proc. ankietowanych, kontynuację działań wojennych – 37 proc.

Rys. HENRYK CEBULA

Zupełnie inaczej sytuacja wyglądała na Ukrainie oraz w państwach „kolektywnego Zachodu" – po 24 lutego, a już w szczególności po zerwaniu rozmów stambulskich, każdego nawołującego do pokoju wyzywano od ruskich onuc.

W ostatnim czasie nastroje jednak radykalnie się zmieniły – o rozmowach pokojowych zaczęli mówić przywódcy państw Zachodu, a nawet ukraiński prezydent. *Ukraina jest gotowa negocjować zakończenie wojny z Rosją, nawet jeśli oznaczałoby to rozmowę z samym Władimirem Putinem* – obwieścił Zełenski na antenie BBC. Deklaracje polityków podchwycili usłużni dziennikarze. Portal Politico, który jeszcze niedawno oskarżał o prorosyjskość wszystkich zwolenników pokoju nad Dnieprem, zaczął lansować teorię, że celem operacji ukraińskiej w obwodzie kurskim jest zmuszenie Rosji do negocjacji pokojowych – co może dziwić o tyle, że Kreml wielokrotnie komunikował chęć rozmów, a blokowała je strona ukraińska.

Pokojowa ofensywa mediów głównego nurtu prędko przyniosła rezultaty – według ostatnich badań już 44 proc. Ukraińców popiera rozmowy pokojowe. Także Europejczycy, wedle badań ECFR, coraz częściej uważają, iż wojna zakończy się kompromisem między Rosją a Ukrainą.

Na każdym kierunku przegrywamy...

Wobec wyraźnie koncyliacyjnych nastrojów atak Ukraińców na obwód kurski pozornie wydaje się niezrozumiały, a tłumaczenie Zełenskiego tak głupie, że nie ma sensu o nim pisać.

Prawdziwym powodem jest bowiem permanentny brak sukcesów Ukraińców. Ostatnim doniosłym przedsięwzięciem Kijowa była zeszłoroczna „kontrofensywa", która jest dziś, nawet nad Dnieprem, tematem żartów.

Tymczasem przed rozpoczęciem negocjacji przydałby się choć medialny sukces. Zełenski był świadomy, że zajęcie jakiegokolwiek, nawet najmniejszego skrawka Donbasu przekracza możliwości ukraińskiej armii. Front jest po obu stronach gruntownie umocniony i nawet Rosjanie mający nieporównywalnie większe zasoby – zarówno ludzkie, jak i materialne – przedzierają się w głąb Ukrainy bardzo powoli, neutralizując niebotyczne ilości min. Przeprawa przez Dniepr również nie wchodziła w grę – kilkukrotnie próbowano zdobyć przyczółki na lewym brzegu rzeki i za każdym razem kończyło się to fiaskiem. Wykluczony był także atak na Krym – półwysep jest otoczony ze wszystkich stron terytoriami zdobytymi przez Rosję jeszcze w pierwszych dniach inwazji i jedyne, do czego zdolni byli Ukraińcy, to punktowe ostrzały rakietowe. Można było próbować uderzyć w Naddniestrze, ale wywołałoby to konflikt z Mołdawią i nie przyniosło żadnego efektu. Z kolei na północ od Kijowa rozciąga się granica z Białorusią, która nie chce brać udziału w konflikcie. Skrajną głupotą byłoby wciąganie Mińska do wojny w jej ostatniej fazie. Poza Kurskiem Ukraińcy mogliby zaatakować Biełgorod, jednak stacjonuje tam sporo rosyjskich oddziałów kierowanych na charkowski odcinek frontu.

...więc uderzymy na Kursk!

Kursk był zatem jedynym kierunkiem, na którym Ukraińcy mogli zaatakować i odnieść choćby chwilowe zwycięstwo. Nie był dostatecznie chroniony, bo atakowanie go było całkowicie irracjonalne. Rosjanie najwyraźniej nie spodziewali się, że Zełenski zmarnuje zachodni sprzęt i żołnierzy – w sytuacji, gdy jednego i drugiego bardzo mu brakuje – wyłącznie dla wywołania chwilowej medialnej hecy. W chwili zamykania tego numeru (21 sierpnia) sytuacja w obwodzie kurskim jest ustabilizowana – Ukraińcy zajmują ok. 3 proc. obwodu i są stopniowo, acz powoli wypierani przez wojska rosyjskie. Największą zajętą miejscowością jest licząca niecałe siedem tysięcy mieszkańców Sudża, a najbardziej doniosłą akcją – zburzenie pomnika Włodzimierza Lenina w centrum miasteczka. Od Kurskiej Elektrowni Jądrowej, której zajęcie byłoby faktycznym problemem, Ukraińców dzieli przeszło 90 km i nie ma najmniejszych szans, że choćby zbliżą się do obiektu. Atak wymusił przesiedlenie ok. 120 tys. mieszkańców przygranicznych terenów (ok. 10 proc. ludności obwodu i 0,1 proc. ludności Rosji) i jak donosi „Kurska Prawda" zostali oni ewakuowani głównie do stolicy obwodu oraz okolicznych dużych miast. Rozpoczęto także wypłatę świadczeń socjalnych dla przesiedleńców.

Operacja ma też konsekwencje dla samej Ukrainy – przeniesienie na kierunek kurski sił dotychczas zaangażowanych na froncie w Donbasie skutkuje załamaniem donbaskiego oporu. A to radykalnie przybliża nas do zakończenia wojny.

MAREK SANOWSKI

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Uważana przez media głównego nurtu za ekspertkę ds. Rosji Krystyna Kurczab-Redlich w udzielonym niedawno wywiadzie ujawniła, jak powstają jej analizy sytuacji na Kremlu: *Moje chciejstwo, chciejstwo, aby pogrążyć Putina, jest zbyt duże, abym przyjmowała prawdę. Nawet jeśli to są fakty, ja nie chcę o tym słyszeć. Po prostu*. Wzorzec obiektywnego dziennikarstwa.

☆ Bartosz Wieliński komentuje na łamach „Gazety Wyborczej" śledztwo „The Wall Street Journal", z którego wynika, że to Ukraińcy we współpracy z Polską wysadzili gazociągi Nord Stream: *Niemcy powinni być wdzięczni, że ktoś za nich rozwiązał problem gazociągów Nord Stream i podwodne rury wysadził. Dzięki temu mają szansę wyjść z tej haniebnej inwestycji bez konieczności odpowiadania na nieprzyjemne pytania*. Czy redaktor Wieliński sugeruje, aby ukraińscy terroryści wysadzili także biegnące przez Polskę rurociągi „Przyjaźń" i „Jamał" oraz wszelkie polsko-rosyjskie przejścia graniczne i terminal przeładunkowy w Małaszewiczach, aby dać Polsce szansę *wyjść z tych haniebnych inwestycji*? No i jak „Gazeta Wyborcza" zamierza rozliczyć się z haniebnych wizyt naczelnego Adama Michnika w putinowskim Klubie Wałdajskim? Też z pomocą dynamitu?

☆ Ukraińska Rada Najwyższa chce znieść odpowiedzialność karną za pierwszą dezercję. Jak donosi „Ukraińska Prawda": *Jeżeli podejrzany o samowolne opuszczenie jednostki wyrazi chęć kontynuowania służby, będzie mógł być zwolniony z odpowiedzialności karnej*. Przy okazji dyskusji nad projektem ujawniono, że od początku wojny z ukraińskiego wojska zwiało przeszło 63 tys. żołnierzy.

☆ Znany z przenikliwych analiz i racjonalnego osądu rzeczywistości gen. Waldemar Skrzypczak postuluje na łamach „Wprost" utworzenie w Polsce „legionu białoruskiego" w celu obalenia rządu Aleksandra Łukaszenki. Albowiem, zdaniem generała, Polska *ma prawo do udziału w rozliczaniu morderczej ekipy Łukaszenki, a przede wszystkim w przyspieszeniu upadku jego reżimu. Nie ma zgody na ataki na Polskę i to musimy wyraźnie wyartykułować*. Świetny pomysł! Proponujemy powołać Skrzypczaka na dowódcę takiego pułku i od razu wysłać do Mińska, aby osobiście doglądał frontowych postępów.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

REKLAMA

Dobry Żyd na bruku

Złe i smutne wieści nadeszły z Białegostoku, gdzie doszło do pogromu Żydów. Może na niewielką skalę, ale jednak. Był to pierwszy pogrom od 1906 r. Przemilczam te w latach 1939–1945, kiedy odbywały się one z częstotliwością niedzielnych nabożeństw, ale w sensie odpowiedzialności nie były naszą winą.

Otóż powalony został na bruk z kostki bauma młodociany dziobonosy, odlany ze spiżu Eliezer Lewi Samenhof (bardziej znany jako Ludwik Zamenhof) stojący opodal Rynku Kościuszki. Szczegółów policja nie ujawnia. Ustaliliśmy, że wyrwano go z korzeniami wykonanymi z drutu zbrojeniowego o długości 50 cm zespolonego z podeszwami. Następnie opluto i obsikano. To oczywiście wymagało sporej krzepy i odwagi. Sprawców musiało być kilku. Nie badano DNA moczu, co oznacza, że pochodzić on mógł od psa.

Poddany cara

W warunkach renesansu antysemityzmu wyraźnie odczuwalnego wśród polskiej młodzieży dalej będę argumentował, że było to działanie zupełnie krzywdzące. Podejmę się dowodzenia bardzo obrazoburczego w obecnych czasach twierdzenia, że

ośmiokrotnie nominowany do Pokojowej Nagrody Nobla Samenhof był dobrym Żydem, choć obywatelem rosyjskim też dobrym

(zaraz mnie zabiją i zjedzą). Wyjaśniam, że w owych czasach, kiedy jeszcze oczywiście Lewi żył, wszyscy w Białastoku byli poddanymi cara.

Samenhof uznawany i opiewany jest, choć niesłusznie, jako twórca języka innego niż polski, zwanego esperantem, co do którego ktoś, kto pierwszy raz wylądował na dworcu PKP w Białymstoku, może odnieść wrażenie, że posługują się nim tam wszyscy tubylcy. Jest to spostrzeżenie błędne. Esperanto, podobnie jak dialekt podlaski, to lingua franca czerpiąca z łaciny, szwabskiego, ruszczyzny, romskiego, języka rynsztokowego, masarskiego oraz niekiedy i polszczyzny. Ale to nie to samo.

Z punktu widzenia pragmatycznego język opracowany przez Samenhofa ma mnóstwo wad, które chce się prezentować jako zalety i zalet, które poczytywane są za wady.

Dodatnie minusy

Esperanto jest językiem prostym (zaleta), a zarazem prymitywnym (wada). Ma tylko dwa przypadki rzeczownika, a rzeczowni-

Morowe powietrze w sanatoriach

Po jaki chuj ludzie jeżdżą do sanatoriów? Niejeden i niejedna, by urwać się z małżeńskiej smyczy i trochę poruchać na boku, a także poimprezować po ciężkim dniu rozmaitych, niekiedy wyczerpujących, zabiegów. Ale wiele osób udaje się do nich, aby podreperować stan zdrowia, co jest szczególnie istotne wśród osób pracujących – mających szybką ścieżkę do uzdrowiska dzięki programowi prewencji rentowej ZUS. Lepiej opłacić im te 24 dni w sanatorium niż łożyć na zwolnienia lekarskie, nie wspominając w ogóle już o wypadnięciu z rynku pracy i przejściu na garnuszek państwa.

Najwyższa Izba Kontroli opublikowała właśnie raport pokazujący czarno na białym, że w polskich uzdrowiskach ludzie nie tylko się leczą, ale wręcz przeciwnie – są podtruwani przez zanieczyszczone powietrze. Władza pisowska nic z tym nie robiła,

eprasa.pl f1d56f4ada

Człowiek nadziei*

ki wszystkie kończą się na „o”. Wszystkie czasowniki są regularne. Kończą się zawsze na „s”. Występują tylko w trzech czasach. Przymiotniki głównie odrzeczownikowe. Składnia na poziomie zdań prostych. Esperanto ma oczywistą ortografię, a w zasadzie jej mieć nie musi.

Pierwszy słownik, jaki spisał Samenhof, składał się raptem z 9 tys. słów, gdy, powiedzmy, nasza polska mowa ma ich 200 tys., a dominująca nad światem angielszczyzna – 400 tys.

Bądźmy szczerzy. Siłą 9 tys. wyrazów nie na każdy temat da się pogadać. Prawnikom, inżynierom materiałowym, lekarzom oraz artystom cyrkowym chcącym konwersować w esperanto bardzo szybko zabrakłoby języka w gębie. Samenhof wykonał jednak jak na tamte czasy tytaniczną pracę, przeczesując ówczesne słowniki w poszukiwaniu słów międzynarodowych, które znaczą to samo. *Problemo*, *banko*, *sporto*, *ciokoloado*, *deserto* oraz *prostytutino* są naturalnie w tym słowniku.

Stało się to zresztą przedmiotem szyderstw, że esperanto to „niejęzyk”, a jego słownik składa się z „niesłów”. Są to zasadniczo piktogramy, hieroglify, które dziś nazywamy ideogramami.

Esperanto nie ma kultury. Wprawdzie przetłumaczono na nie Biblię, Torę i „Ojcze Nasz” ale oryginalnie napisano w nim tylko cztery książki.

Jego zasadnicza przewaga nad językami naturalnymi jest taka, że można się go nauczyć w 150 godzin. Znaczy 10 dni i już jesteś biegły, podczas gdy dla angielskiego minimalna dawka, aby opanować go w standardzie *basic*, wynosi 1500 godzin.

Ma też tę wadę albo zaletę, iż posługuje się nim 100 tys. ludzi na Ziemi, które to szacunki mogą być nieco na wyrost. Ale za to większość z nich mieszka w Finlandii, gdzie ludzie zapożyczyli słownictwo od reniferów, na Węgrzech, oraz w Afryce, gdzie mowa jest – żeby tego nie komplikować – powiedzmy, słoniowa.

Archeolingwistyka

W gruncie rzeczy wielkość Samenhofa nie polega jednak na jego języku, któremu się zarzuca, że został wymyślony za biurkiem. Nie to było celem doktora. Samenhof dokonał przełomowych filozoficznych, ale i praktycznych obserwacji, które nakierowane były tak naprawdę na odtworzenie pierwotnego języka ludzkości z czasów Księgi Rodzaju, kiedy *mieszkańcy całej Ziemi mieli jedną mowę, czyli jednakowe słowa*.

Pan Bóg nie miał nic przeciwko temu, ale nie spodobało mu się, że ci jednojęzyczni chcą wybudować wieżę, która szczytami sięgać będzie królestwa niebieskiego. Pomnik pychy, wyniosłości i przesadnych ambicji. Dlatego pomieszał ludziom języki. Od tej pory ludzkość już nie była taka sama. Wieża naturalnie nazywała się Babel.

Samenhof uważał, że język sprzed czasów budowy wieży Babel istniał. Początkowo przypuszczał, że była nim łacina, matka i ojczym wszelkiej europejskiej mowy. Następnie zrozumiał, że musiało być to coś prostszego. Esperanto, praktycznie rzecz biorąc, to miała być rekonstrukcja jakiegoś europejskiego prajęzyka. W wyobrażeniu Samenhofa języka Adamowego, któremu Pan Bóg wszak kazał nazwać wszystkie rzeczy. Dr Samenhof mniemał, że ów język uniwersalny odkrywa na nowo.

Rys. WIDGET

Było to jednak pewną zuchwałością, którą wytknął mu jego własny ojciec. Pierwszy podręcznik esperanta napisany przez syna spalił w rękopisie. Esperanto to autentyczne psychomentalne bluźnierstwo. Samenhofa jeszcze nie, ale jego późniejszych wyznawców bardzo długo traktowano jak świętokradców. Wsadzano do więzień.

Samenhof jako pierwszy uważał, że wszystkie zwierzęta są równe, ale człowiek jest jedynym zwierzęciem, który umie mówić. *Każdy człowiek w tym samym stopniu panuje nad własnym językiem, w jakim ów język panuje nad nim* – pisał.

Anglosaska dyktatura

Światowy system komunikowania jest totalitarny w rzeczy samej, oparty o dominujące języki narodowe. W tamtych latach był to już język angielski. To oznacza, że natywni anglofoni rodzą się z przywilejami i kompetencjami, które pozostali obywatele świata mogą nabyć w drodze wielu lat wysiłku, i to w sposób niekompletny. Tylko niewielki procent studiujących angielski osiąga w tym języku biegłość pozwalającą na pewność siebie na poziomie takim, jaki ma rdzenny obywatel krajów anglosaskich.

Angielski, który jest językiem etnicznym, wiąże się z określoną kulturą, a przez swoją dominację powoduje również nieuzasadnioną hegemonię tej kultury. Edukacja w dowolnym języku jest związana z określonym poglądem na świat. Nierówny podział władzy między językami jest przepisem na ucisk językowy dla dużej części populacji planety.

Stąd wziął się pomysł, aby sztuczny język esperanto stał się językiem światowym, międzynarodowym, humanistycznym. Środkiem egalitarnej komunikacji wszystkich ludzi na Ziemi, językiem świata bez granic, w którym każdy kraj jest dla użytkownika domem.

Każdy język zarówno wyzwala, jak i zniewala swoich użytkowników, dając im możliwość komunikowania się między sobą, ale uniemożliwiając im komunikację z innymi. Pospolite esperanto zniszczyłoby wszelkie bariery.

A w końcu Samenhof, rozumiejąc rangę języka dla świadomości narodowej, imaginował sobie powstanie narodu esperantystów. Esperantystycznej cywilizacji.

Homo Esperantos

To w jakimś stopniu nawet się powiodło. Esperantyści mają własną flagę. Zieloną, nie może być czerwona, bo czerwień na każdej fladze narodowej symbolizuje krew. Hymn śpiewany w tonie czegoś między „Marsylianką” a „Mazurkiem Dąbrowskiego”. Marszowo:

Głos się rozszedł, wzywa ludzkie rzesze
Nie do mieczy, nie do krwawej burzy...
On nadzieję świętą w sercach krzesze
Ludziom-wrogom wieczny pokój wróży!

Naród esperancki ma swoją konstytucję, parlament, trybunał oraz prezydenta, który nadaje obywatelstwo, jakiego jedynym warunkiem uzyskania jest znajomość esperanto. Można zawrzeć również związek małżeński w esperanckim rycie. Naród esperancki miał własną walutę „stelo” (co, jak łatwo się domyślić, oznacza gwiazdę), a obecnie – bank w Szwajcarii.

Istotne jest, czy Samenhof, tak jak chciał, odkrył zaginioną językową Atlantydę, czy może idea światowego języka, którym posługiwałby się każdy mieszkaniec Ziemi, czeka na swój czas, bo ten jeszcze nie nadszedł? A może jest to kolejna utopia, jakich w okresie jego życia naprodukowano w nadzwyczajnej obfitości?

Na pewno nie odkrył zaginionego języka prehistorii. W świetle badań lingwistycznych i historycznych już wiadomo, że tego zrobić się nie da. Pradawny język to jest zadanie bardziej dla anatomów, laryngologów, specjalistów ewolucji biologicznej, którzy będą pewnie kiedyś w stanie wyrozumować, jak kształtował się nasz aparat mowy w czasach, kiedy wszyscy byliśmy niepiśmienni.

Czy esperanto zajmie spodziewane miejsce w cywilizacji przyszłości? To jest już bardziej prawdopodobne, albowiem wrażenie, że większość współczesnych języków jest zbyt skomplikowana i rozbudowana ponad potrzebę, jest uzasadnione. Ma to bardzo praktyczne negatywne skutki. Zdolności do przetwarzania danych przez nasze umysły są w sposób oczywisty ograniczone. Marnowanie tego potencjału na werbalizację zjawisk w zasadzie prostych oznacza, że naszym wewnątrzczaszkowym maszynom brakuje go dla innych donioślejszych operacji jak na przykład wynalazczość, kreatywność albo pełniejsze niż obecnie postrzeganie.

Imitacja prawdy

Esperanto, podobnie jak każdy inny język, jest w jakimś sensie utopią. Wielce zawodną metodą i narzędziem do opisywania rzeczywistości i międzyludzkiej komunikacji, którego jesteśmy niewolnikami. Słowa traktujemy zbyt poważnie, niemal jak fakty, które obiektywnie mają warunkowe istnienie, a może nawet w ogóle nie istnieją. Jeżeli chodzi o „nożyczki”, „młotek” i „rzeszoto”, to sprawa jest prawie oczywista – raczej istnieją. Ale „słońce świeci”?! Przez to rozumiemy „emisję” jakiegoś „promieniowania” będącego efektem „reakcji termojądrowej”. Każde z tych słów w powyższym zdaniu zawiera pojęcia, których nie da się w pełni wyjaśnić. Choćby dlatego, że słońce ani nie potwierdza, ani nie zaprzecza. Jest godzina 17.00? Rzeczywiście. Ale co takie stwierdzenie oznaczałoby na Marsie? Która jest tam obecnie godzina?

Pan Bóg – początek i koniec. Nie spotkałem Pana Boga ani nigdy nie widziałem żadnego końca i początku. Jestem zupełnie pewien, że wszystkie te pojęcia są złudzeniami. Chyba, że chodzi o początek stołu, który raczej nazwałbym krawędzią. W kontekście zdarzeń odbywających się w czasie obserwujemy tylko pozorne końce i początki.

Dlatego dobrze, że już spionizowali tego Żyda, stawiając go na nogi. Żyd się zawsze w Białymstoku przyda.

ROBERT JARUGA

*) tytuł został ukradziony Andrzejowi Wajdzie, który mianował nim swój film poświęcony Lechowi Wałęsie. Kradzież ta jest jednak słuszna i sprawiedliwa. Pierwszym „człowiekiem nadziei” obwołano Ludwika Łazarza Zamenhofa (w tekście jego personalia podane są w rzeczywistym brzmieniu), który swoją książkę „Una Libra. Język międzynarodowy; Przedmowa i podręcznik kompletny” podpisał pseudonimem „Dr Esperanto”, co znaczy doktor mający nadzieję. Stąd też wzięła się nazwa rzeczonego języka.

Uzdrawianie smogiem

nie stawiamy dużych pieniędzy, że obecna – zajęta igrzyskami, tymi sportowymi i tymi, które polegają na żarciu się w ramach koalicji – zrobi cokolwiek w tej materii. Co tam zanieczyszczone powietrze, jak my budujemy CPK, elektrownie atomowe i cholera wie co jeszcze. No i rak płuc u kuracjuszy to dla budżetu w sumie dobra wiadomość: większość takich pacjentów nowotworowych ląduje na cmentarzu, i to dość szybko…

Lecznictwo uzdrowiskowe, zgodnie z zaleceniami Ministerstwa Zdrowia i NFZ, stanowi kontynuację leczenia, które ma pomóc pacjentowi odzyskać sprawność po chorobie lub wypadku. Miejscowość, aby uzyskać status sanatorium, musi spełnić łącznie pięć warunków, w tym mieć leczniczy klimat i odpowiedni stan środowiska. Generalnie, co jest oczywiste, do uzdrowisk trafiają ludzie z grup ryzyka zapadnięcia na różne choroby i o obniżonej odporności, w tym wrażliwe na zanieczyszczenie powietrza dzieci, osoby starsze, z dolegliwościami układu oddechowego i krążenia, rekonwalescenci po koronawirusie.

W 2022 r. w Polsce funkcjonowało 47 uzdrowisk. NIK skontrolowała dokumentację co czwartego z nich. Okazało się, że żadne z 12 uzdrowisk nie spełniało wszystkich wymogów dotyczących stanu powietrza, a zarazem bez nijakich problemów resort zdrowia potwierdzał ich sanatoryjny status. Zabawne, w każdym wypadku minister zdrowia klepał formułki: *spełnia określone w przepisach o ochronie środowiska wymagania w stosunku do środowiska* i *posiada klimat o właściwościach leczniczych potwierdzonych na zasadach określonych w ustawie uzdrowiskowej*, choć miał w ręku dokumenty, które potwierdzały, że jest dokładnie odwrotnie.

NIK szczególnie skrytykowała Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej – Państwowy Instytut Badawczy, wydający świadectwa klimatyczne. Przyjął on kuriozalną definicję klimatu, z której wykluczono w ogóle zanieczyszczenie powietrza. Instytut ma na sumieniu dziwaczną ekwilibrystykę: wskazywał na brak przeciwskazań do prowadzenia lecznictwa uzdrowiskowego, a zarazem dokumentował niekiedy istotne przekroczenie norm jakości powietrza.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Izba potwierdziła ogólnie ciulowatą jakość powietrza w sanatoriach, ale najbardziej szokujące były dane dotyczące przekroczenia stężenia benzo(a)pirenu, w skrócie B(a)P, który jest nie tylko rakotwórczy, ale zmniejsza płodność i może uszkodzić płód w łonie matki. Benzo(a)piren jest emitowany przez rury wydechowe samochodów, a nade wszystko piece i kotły. To jeden z najbardziej toksycznych składników smogu, przenikający do układu oddechowego i krwiobiegu. Jak ujawniła NIK, *stężenia średnioroczne B(a)P przekraczane były w każdym uzdrowisku i mieściły się one w przedziale od 240% do 1450% normy, w tym w ośmiu uzdrowiskach mogły wystąpić stężenia na poziomie co najmniej 700% normy*.

Najlepsze, że poprawa jakości powietrza w uzdrowiskach, nie wspominając o ograniczeniu smogu w całym kraju, nie wymaga jakichś technologii kosmicznych. Trzeba zmienić ogrzewanie na ekologiczne (precz z kopciuchami!), ograniczyć ruch śmierdzących aut. Ale my, Polacy, jesteśmy ponad to – mamy grubą forsę na zbrojenia, pasienie groszem publicznym kleru, ale na zapewnienie, aby ludzie (choćby w uzdrowiskach!) nie byli truci, to już przekracza horyzonty rządzących.

K.K.

eprasa.pl f1d56f4ada

Jak wychować patriotów idiotów

Nie będzie kabaretu, będzie chór! – zapowiedział pod wpływem towarzysza Jana Winnickiego gospodarz Stanisław Anioł w serialu „Alternatywy 4” Stanisława Barei. Bo grany przez Janusza Gajosa partyjniak troszczył się o zdrowy kręgosłup moralny sąsiadów, czego symbolem był nawiązujący do brunatnego Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald” obraz.

Wicepremier i szef ludowców Władysław Kosiniak-Kamysz też stwierdził, że Polakom – najlepiej od kołyski – potrzebny jest chór piewców polskości, zapowiadając program wychowania patriotycznego: *Patriotyzm to miłość do Ojczyzny, szacunek dla niej i drugiego człowieka, poszanowanie dla historii, tradycji i kultury*.

Szef PSL-u dookreślił, że nie idzie mu o nowy przedmiot, lecz ma to być *program dla szkoły*, w ramach którego *w różnych elementach będzie wychowanie patriotyczne*. Gówniarze mają odwiedzać miejsca ważne historyczne. Konia z rzędem temu, kto znajdzie jakąkolwiek różnicę z programem byłego szefa resortu edukacji Przemysława Czarnka, który na takie bogoojczyźniane wycieczki dawał kasę. Ten sam Czarnek podkreślał, że *patriotyzm to mądra miłość ojczyzny, sumienne wykonywanie obowiązków*.

Gwoli ścisłości wizja patriotyzmu łączy obu panów z nikim innym jak Bolesławem Bierutem głoszącym, że *patriotyzm to gorące, szczere, pełne ofiarności uczucie*, uczucie przywiązania do narodu, *do jego kultury, do ziemi ojczystej, to duma z najlepszych jego tradycji*. Do dziś pamiętam, jak pod koniec komuny na uroczystym apelu na początku roku szkolnego śpiewałam… no dobra, z moim brakiem słuchu muzycznego raczej fałszowałam: *Ukochany kraj, umiłowany kraj, ukochane i miasta, i wioski*.

Tajemnicą poliszynela jest, że tzw. wychowanie patriotyczne w Polsce po upadku komuny jest nieomal wyłączną domeną klechów, będąc faktycznie (anty)wychowaniem katolicko-narodowym, czego parę przykładów poniżej.

Już ponad dekadę temu bp Wiesław Mehring w homilii „Nasz kraj potrzebuje bożych wartości” wyjaśnił: *Mogę zmieniać świat, zmieniając siebie. Mogę kochać świat, miłując ziemię rodzinną. Mogę ubogacić świat, wnosząc klucz wartości, które wyniosłem z rodzinnego domu. To jest obowiązkiem chrześcijanina*.

Siostra Maria Loyola Opiela (służebniczka dębicka, cokolwiek to znaczy) w artykule „Wychowanie do patriotyzmu” z 2018 r. na łamach „Ateneum Kapłańskiego” daje silny, dźwięczny głos za Ojczyzną, ochroną i rozwojem kultury narodowej. To dzięki temu przetrwał nasz naród, choć wielkie obce potęgi chciały go zniszczyć. Wychowanie patriotyczne posiada *wielką siłę uszlachetniającą człowieka*.

Siostra Maria nie bierze jeńców, zauważając, że troska o prawidłowy rozwój i wychowanie dzieci i młodzieży mających kochać ojczyznę – jak śpiewał Muniek z T.Love przed laty: *Ojczyznę kochać trzeba i szanować, nie deptać flagi i nie pluć na godło* – to ponadczasowy obowiązek obywatelski. Ale nadciągają ciemne chmury: *Jednak współcześnie, w sytuacji wolności politycznej i gloryfikowania wolności sprowadzonej do indywidualizmu i egoizmu, patriotyzm, wychowanie patriotyczne i związane z nimi wartości niejednokrotnie są sprowadzane do zewnętrznej formy, często są ośmieszane, a nawet zwalczane i zagrożone kosmopolityzmem*.

Dziwnie mi to przypomina skecz poznańskiego Kabaretu Tey z lat 80., w którym pada znamienna fraza, że lepiej być patriotą idiotą, niż kosmopolitą najmitą.

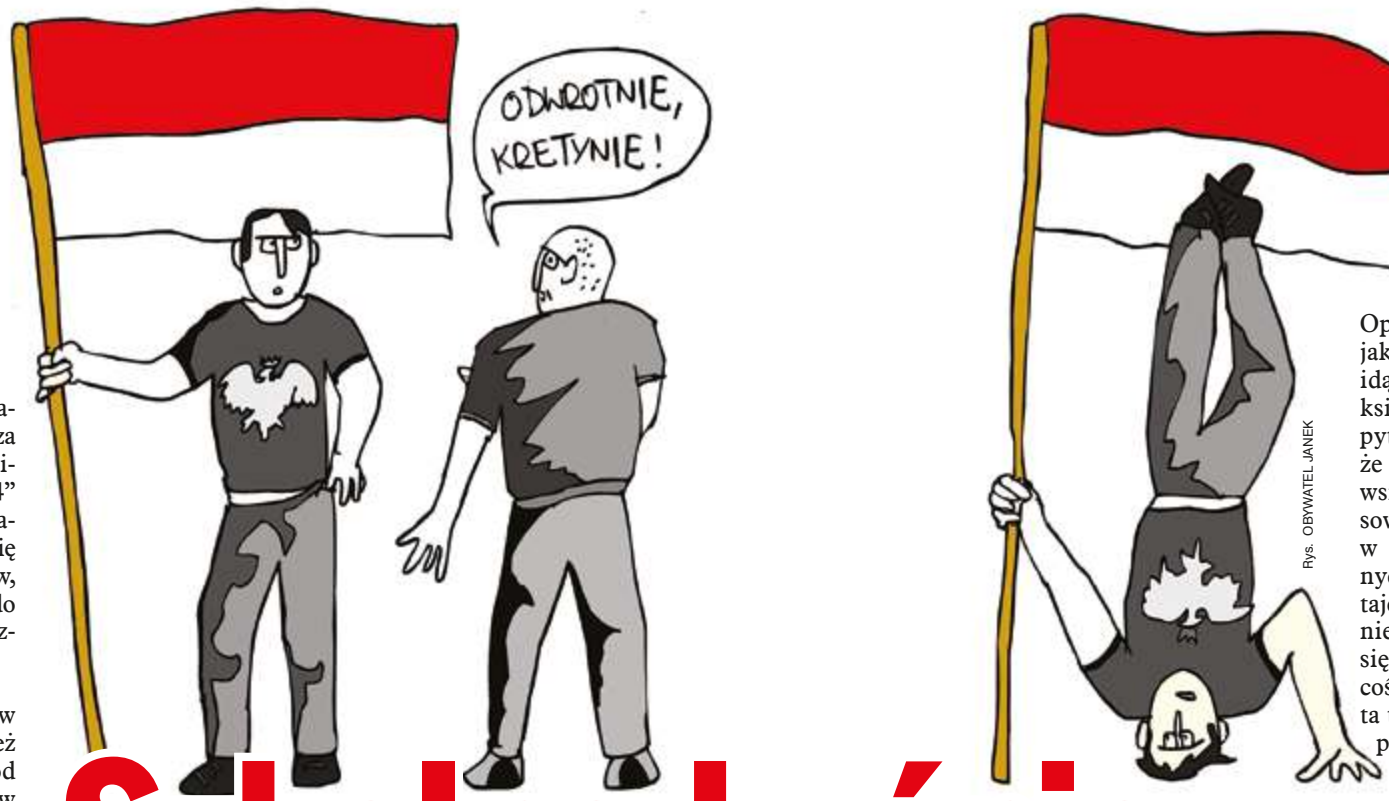

Rys. OBYWATEL JANEK

Szkolna kuźnia nacjonalizmu

Akademia Wojsk Lądowych imienia generała Tadeusza Kościuszki we Wrocławiu wydała w 2020 r. książkę „Patriotyzm. Wczoraj – dziś – jutro” redagowaną przez ks. prof. Jana Zimnego, bo jak wiadomo sutanna jest gwarantem polskości i patriotyzmu. Klecha zaczyna wstęp od wysokiego C, acz nieco nostalgicznie i martyrologicznie: *Ojczyzna – słowo święte dla wielu Polaków. Słowo – symbol. Dziś jakby trochę mniej ważne, trochę zapomniane. (…) Ilu ludzi musiało cierpieć, ilu zginąć, abyśmy dziś mogli cieszyć się z nieskrępowanej wolności, z polskości, abyśmy dziś mogli beztrosko nie pamiętać*.

Osobiście jestem gotowa cierpieć, a może nawet zginąć, aby więcej mnie klechy w sutannach i bez sutanny nie mordowały tępym nacjonalizmem udającym patriotyzm. Gwoli ścisłości, jakby komuś się wydawało, że wicepremier Kosiniak-Kamysz pomylił ministerstwa – ma zajmować się obronnością, a nie edukacją – to w sukurs przychodzi mu artykuł naukowy Aldony Molesztak, „Wychowanie patriotyczne z perspektywy wartości”. Autorka podkreśla, że *tysiącletnia historia państwowości polskiej ukształtowała tradycję wychowania patriotycznego i obronnego, w której wiodące miejsce zajmowało braterstwo, odwaga i męstwo na polu walki, heroizm, poświęcenie dla ojczyzny*.

I wszystko jasne!

Lider ludowców zapowiedział też powstanie – chłopi są spragnieni stanowisk po ośmiu latach grzania ław opozycyjnych i rugowaniu przez PiS ze wsi – Instytutu im. Wincentego Witosa. I bardzo dobrze. Tylko niech nowa placówka – kto biednemu zabroni żyć bogato! – zajmie się prawdziwą historią chłopską, której nieodrodnym elementem jest ludowy antyklerykalizm. Wszak wizja wsi, na której w zgodzie żyją pan z wójtem i plebanem, ma się nijak do tego, jak wyglądała codzienna egzystencja chłopów. W sumie może złożę aplikację do nowej instytucji, bo – jak 90 proc. Polaków – mam korzenie chłopskie, przez lata też mieszkałam na wsi. Antyklerykalizm wpoił mi śp. dziadek.

Dziadek był prostym człowiekiem. Jak by powiedział nasz wieszcz Norwid, miał „tak” za „tak”, a „nie” za „nie”. Do kościoła nie chodził, księdza po kolędzie przyjmował, ale nieco z niego drwił. Opowiadał mi historyjkę swego ojca, jak jeszcze w czasach zaborów pewien idący do komunii chłopak dostał od księdza dobrodzieja po łbie, bo na pytanie, ilu jest bogów, powiedział, że trzech: ruski, pruski i nasz. Na wsi żywe wciąż były echa walki klasowej, jaka bezwzględnie toczyła się w folwarku. Nieufność do duchownych katolickich wzbudzało łamanie tajemnicy spowiedzi. Kiedy jakiś nieszczęśnik nieopatrznie przyznał się proboszczowi, że z głodu ukradł coś z pańskiego dworu, wiadomość ta trafia do jaśnie pana, co skutecznie podkopywało zaufanie do klechy. A chłopu zafundowała wpierdol od karbowego.

Nie było to bynajmniej doświadczenie unikalne. Jak zauważa historyk Tomasz Wiślicz: *Na poziomie codziennym ludowy antyklerykalizm wyrażał się w krytyce luksusowego (z punktu widzenia chłopów) stylu życia księży, popełnianych przez nich przestępstw obyczajowych różnego typu, zaniedbań duszpasterskich czy wyniosłego stosunku do parafian*. Był też – zaznacza akademik – poziom polityczny: księży postrzegano jako przeszkody w modernizacji wsi, uciszających chłopów, sprzeciwiających się ich aktywności publicznej.

Zastanawiam się tylko nad jednym. Czy ubóstwianie Witosa, który już po paru latach niepodległości po I wojnie światowej zbratał się z nacjonalistyczną prawicą, Chrześcijańskim Związkiem Jedności Narodowej (takim ówczesnym połączeniem PiS-u i Konfederacji), tworząc tzw. koalicję i rząd Chjeno-Piasta, nie jest zapowiedzią przyszłych aliansów ludowców…

KAT

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Pasażerka taksówki za ośmiokilometrowy kurs spod dworca PKP na osiedle Drabinianka w Rzeszowie, trwający 17 minut, zapłaciła 136 zł. Artur Gernand z kancelarii prezydenta Rzeszowa potwierdza, że miejscowe Stowarzyszenie Transportu Prywatnego złożyło do samorządu wniosek o ustalenie maksymalnej stawki taryfy przewozu osób, a prace nad cennikiem trwają. Czy będzie on wyższy, czy niższy – nie ujawnił.

▮ Natomiast warszawiacy, którzy pozbyli się biednych kierowców z centrum miasta, wprowadzając Strefę Czystego Transportu, jak się okazuje, nie lubią również kierowców bogatych. Fundacja Orion i Instytut Ekologii Akustycznej pozywają miasto stołeczne w sprawie hałasu, jaki emitują *kierowcy super sportowych aut różnych egzotycznych marek i najczęściej w jaskrawych kolorach*. Wydaje nam się, że tak naprawdę prawdziwym powodem owego pozwania są te jaskrawe kolory, które też powinny być do barwienia pojazdów zakazane.

▮ W Krakowie grupa osób obwołująca się Nocnym Zarządem Dróg Rowerowych kupiła pół tony zimnego asfaltu, którym – pod nieobecność straży miejskiej – partyzancką metodą łata dziury w ciągach komunikacyjnych dla rowerów. Cykliści odgrażają się, że jeżeli władze Krakowa nie wezmą się za równanie rowerowych ścieżek, to będą sami równać dalej. W ostateczności wybudują bez stosownych zezwoleń kładkę rowerową nad rzeką zwaną w Krakowie Białuchą, a poza nim – Prądnikiem. Obecnie, aby przeprawić się tu na drugi brzeg, rowerzyści muszą wchodzić po schodach z rowerami na plecach.

▮ Prezydent Kalisza Krystian Kinastowski w kwietniu tego roku wysłał do ministra finansów Andrzeja Domańskiego prośbę o pomoc finansową. W jego rozumieniu miastu może grozić bankructwo, gdyż budżet miejski na reformach podatkowych poprzedniej władzy stracił 170 mln zł. W liście Kinastowski buńczucznie zapytywał nawet, kiedy i w jakiej wysokości nadejdzie rządowa pomoc. Ministerstwo wreszcie odpowiedziało. Rządowa pomoc nie nadejdzie. W Kaliszu muszą sobie radzić sami.

▮ Policjanci z Komendy Miejskiej w Gdańsku prowadzą postępowanie w sprawie ustalenia personaliów wodniaka, który gnając na skuterze wodnym, spłoszył foki z wyspy zwanej Foczą Łachą. Następnie gonił za nimi po morzu. Stacja Morska Uniwersytetu Gdańskiego w Helu wszczęła własne śledztwo, podnosząc, że foki są gatunkiem chronionym, a Focza Łacha rezerwatem przyrody, jedynym siedliskiem dziko żyjących fok szarych w Polsce. Żeby to trochę wyważyć, nie można zapomnieć, że foki są też gatunkiem inwazyjnym na naszej szerokości geograficznej. Jak zrobimy im dobrze za dobrze, to może z tego coś złego wyniknąć.

▮ Na osiedlu mieszkaniowym Łabędy w Gliwicach wprowadzono nowe zasady użytkowania wspólnej przestrzeni. W trawnik na kilkuset metrach kwadratowych wbito osiem tabliczek, które zakazują głośnych rozmów, grania w piłkę, picia piwa oraz defekowania wszelkim stworzeniom żywym. Jak widać, restrykcje uderzają głównie w dzieci. Słusznie, że ktoś wreszcie wziął się za zwalczanie tej patologicznej formacji społecznej.

Rys. WIDGET

▮ Michał Sztybel, wojewoda kujawsko-pomorski, utrzymuje, że jego województwo stało się ofiarą bioataku, co wyjawił na specjalnie zwołanej konferencji prasowej. Zdaniem Sztybela napadu dokonano w miejscowości Szabda w powiecie brodnickim. Podrzucono tam martwą dziką świnię, która zainfekowana była zmutowanym wirusem afrykańskiego pomoru świń. Analizy wykazały, że wirus powiązany jest genetycznie ze szczepami typowymi dla województw wielkopolskiego, zachodniopomorskiego oraz lubuskiego. Na Kujawach i Pomorzu nigdy wcześniej takiego typu bakcyla nie stwierdzono. Hipotezę uprawdopodabnia też nasza osobista obserwacja. W początkach czerwca rzeczywiście widzieliśmy w okolicach Szabdy człowieka bardzo podobnego do prezydenta jednego z atomowych mocarstw w stroju młodszego gajowego.

▮ Równie źle ma się fauna w stolicy, gdzie od kilku tygodni obserwowany jest masowy pomór ptaków krukowatych: wron, kawek i srok. Tu sprawa jest jeszcze bardziej ewidentna, chociaż wielce zawiła. Krukowate, zdaniem Powiatowego Inspektoratu Weterynarii, padają z powodu obecności materiału genetycznego wirusa gorączki Zachodniego Nilu. Sprawą ma się zająć Agencja Wywiadu JW 3164.

▮ Natomiast władze Tunezji zezwoliły Polakom na wjazd do ich kraju bez paszportu. Za okazaniem dowodu osobistego. To też jest oczywiście sabotaż wymierzony w naszą obywatelską wolność. Dowody osobiste i temu podobne dokumenty to wynalazek systemów totalitarnych, który dawno powinien być zniesiony. Wolny obywatel powinien posiadać paszport oraz – jeżeli chce – prawo jazdy i kartę ubezpieczenia społecznego. Reżim Tunezji, podnosząc rangę dowodu osobistego do statusu paszportu, wyraźnie ingeruje w nasze wewnętrzne sprawy.

▮ Według najnowszych danych, ale z 2022 r., w rankingu miast powiatowych powyżej 30 tys. mieszkańców najniższe wydatki na administrację w przeliczeniu na mieszkańca poniósł Ełk – 277 zł. Następny był Śrem – 313 zł. Oraz Wieliczka z wydatkami na poziomie 317 zł na jednego mieszkańca. W miastach powyżej 15 tys. mieszkańców najmniejsze wydatki na obywatela były w Luboniu – 316 zł, Wasilikowie – 345 zł oraz Pilznie – 346 zł. Najlepiej płacą swojej administracji mieszkańcy Krynicy-Zdroju, z których każdy łoży na magistrat 1336 zł oraz w Krynicy Morskiej, gdzie koszt administrowania wyniósł 3580 zł na mieszkańca.

▮ W podwarszawskim Nadarzynie znaleziono zwłoki Chińczyka z ranami postrzałowymi brzucha. Nadarzyn jest niewielką miejscowością oddaloną 6 km od Wólki Kosowskiej, w której bytuje, żyjąc z handlu, około 10 tys. Azjatów. Ta diaspora istnieje tu mniej więcej od 30 lat i dotychczas nie odnotowano pośród niej żadnego przypadku zgonu. Sprawa jest zatem podwójnie zagadkowa. Z ostatniej chwili: zwłoki, wbrew pierwszym doniesieniom, należały do Litwina, ale zabójcą okazuje się Chińczyk, czyli sytuacja nieco się uprościła.

RJ

PS Powyższe informacje mogą mijać się z prawdą. Pochodzą od kolegów z terenu. Traktować je należy z dyktowaną doświadczeniem życiowym ostrożnością.

eprasa.pl f1d56f4ada

Polski (wy)czyn olimpijski

Gdyby jednym słowem określić kondycję polskiego sportu wyczynowego, wypadałoby powiedzieć: dupa.

Niezbyt elegancko jest cytować siebie, ale trudno. Muszę. W maju tekst na tej stronie („NIE", nr 19/2024) zacząłem słowami: *Polski sport jest w kryzysie, co potwierdzi zbliżająca się olimpiada, o piłkarskich mistrzostwach nie mówiąc*. Żeby to napisać, nie musiałem posługiwać się szklaną kulą, a Nostradamus nie jest moim kolegą. Nie dałem się zwieść optymistycznym prognozom, do których – jak gdzieś czytałem – zaprzęgnięto nawet sztuczną inteligencję. Mnie wystarczyła moja lekko już nadszarpnięta wiekiem zwykła inteligencja poparta wieloletnią znajomością sportu. Polski wyczyn choruje i nie jest to jedna choroba, na którą wystarczyłoby konkretne lekarstwo.

Być może gdyby polscy sportowcy przywieźli z Paryża kilkanaście medali, a wśród nich byłyby złote, wszyscy biliby brawa, a rak toczyłby dalej całe to środowisko.

Pan Pisiewicz

Radosław Piesiewicz był dość częstym bohaterem moich tekstów. Pisałem o dziwnych okolicznościach, w których został wybrany na prezesa Polskiego Komitetu Olimpijskiego, przyczepiałem się do jego próby (na szczęście nieudanej) przedłużenia swojej kadencji do ośmiu lat. Wracałem nawet do wcześniejszej działalności Piesiewicza w Polskim Związku Koszykówki, w którym skłócił wszystkich ze wszystkimi. Nie darowałem sobie anegdotek, świadczących o – co tu dużo mówić – braku kultury pana ubierającego się i zachowującego w stylu ministra Czarnka.

Teraz, po paryskiej porażce, Radosław Piesiewicz, zwany przez niektórych Pisiewiczem, z racji dobrych kontaktów z politykami dzisiejszej opozycji, zwłaszcza ze swoim długoletnim kolegą czy nawet przyjacielem Jackiem Sasinem, stał się bohaterem mediów. Wyciągnięto mu także liczne podróże wraz z rodziną, podczas których korzystał z obsługi VIP na warszawskim lotnisku im. Chopina. Onet wykrył, że żona prezesa PKOl zarobiła przez pół roku w banku Pekao S.A. ponad milion złotych, przy czym nie można odnaleźć żadnych śladów jej działalności.

Piesiewicz dramatycznie apeluje, aby w spokoju zostawić jego rodzinę, żonę i dzieci. Rzeczywiście, czepianie się czyichś bliskich nie jest piękne. Ale, panie prezesie, trzeba było nie ciągać pod banderą komitetu olimpijskiego rodzinki po lotniskowym VIP-saloniku, a pana przyjaźń z Jackiem Sasinem, który w rządzie PiS odpowiadał za spółki skarbu państwa, rzuca cień podejrzeń na zatrudnienie pańskiej małżonki. Krótko mówiąc, Piesiewicz to typowy pisowski twór, który potrafi dbać przede wszystkim o siebie. Jest jednym z tych tłustych kotów, o których kiedyś – w przypływie szczerości – mówił prezes Jarosław Kaczyński.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Klucz do skarbu państwa

Po walnym zgromadzeniu PKOl, które wybrało Piesiewicza na funkcję prezesa, w wielu związkach sportowych – zdziwicie się – zapanowała wielka radość. Związki i kluby wciąż borykają się z brakiem pieniędzy, a Piesiewicz, dzięki bliskim kontaktom z Jackiem Sasinem, dawał nadzieję na zmianę. Pamiętam moją dyskusję z wieloletnią urzędniczką jednego ze związków, która nijak nie dawała się przekonać, że awansowanie takiego człowieka niczego dobrego nie przyniesie sportowi. Już nie chodzi nawet o osobę samego prezesa. Opieranie finansowania sportu na pieniądzach spółek skarbu państwa jest czymś bardzo szkodliwym (pisałem o tym wielokrotnie przy różnych okazjach i jeszcze nie raz napiszę).

Szkolenie sportowców oparte musi być na konkretnym systemie.

A dokąd idą pieniądze spółek skarbu państwa? Albo w formie sponsoringu, który trafia do uznanych już gwiazd, albo do ludzi, którzy mają dojścia jak właśnie Piesiewicz. Ile kasy przyklei się po drodze do chciwych rąk, to już inna sprawa. O żadnym systemie szkolenia młodzieży nawet nie ma co mówić.

À propos, podpowiem coś dziennikarzom śledczym i innym śledczym, którzy przeglądać teraz będą olimpijskie papiery. Regułą się stało, że osoby, które przyniosły do sportowej organizacji pieniądze od sponsorów, pobierają z tego tytułu prowizje. Poprzedni prezes PKOl Andrzej Kraśnicki nie wziął ani złotówki, a jak się ma sprawa z obecnym? Gdy nakłoniono Kraśnickiego do rezygnacji z ponownego kandydowania na prezesa (ponoć w przekonywaniu brał udział prezydent Andrzej Duda, ale tego nie jestem pewien), obiecywano Kraśnickiemu wypłatę wszystkich zaległych prowizji od umów sponsorskich, coś ok. miliona złotych. Kraśnicki powiedział, że nie weźmie ani grosza. Podobnych zapowiedzi z ust Piesiewicza nie słyszałem.

Obce ciało

Po paryskiej porażce (od blisko 70 lat Polska nie zajęła tak odległego miejsca – w piątej dziesiątce klasyfikacji) rozpoczęła się wojna między Piesiewiczem a ministrem sportu Sławomirem Nitrasem; wzajemne przerzucanie się odpowiedzialnością. Przykro o tym pisać, ale minister stoi na przegranej pozycji. Po pierwsze – ma rację Piesiewicz, że PKOl nie odpowiada za przygotowanie sportowców. Za to odpowiadają związki i kluby. Owszem, Piesiewicz przymierzał się – właśnie poprzez pieniądze ze spółek skarbu państwa – do wzięcia na siebie odpowiedzialności za wyczyn, ale nie zdążył. Za ledwie 10 medali, w tym tylko jeden złoty, nie można go obciążać. Rolą PKOl jest sfinansowanie wyjazdu ekipy, wyposażenie i zapewnienie jej jak najlepszych warunków na miejscu. Tu już jednak można mieć sporo zastrzeżeń i z tego należałoby Piesiewicza rozliczyć.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Po drugie – ma rację Piesiewicz, że komitet olimpijski, podobnie zresztą jak związki sportowe, jest niezależną organizacją rządzącą się swoim statutem i władza państwowa nie ma nic do niego. Mieliśmy w historii zwarcie między władzami państwowymi a Polskim Związkiem Piłki Nożnej. W całej tej (paskudnej zresztą i z wątkiem kryminalnym) historii PZPN, dzięki poparciu UEFA i FIFA, był górą. Działacze światowej piłki zagrozili, że jeśli władza nie odczepi się od futbolu, to nasza reprezentacja grać będzie tylko na podwórkach, bo wykluczona zostanie ze wszystkich rozgrywek.

Nie wiem, jakie umocowanie ma Piesiewicz w MKOl, ale jeśli mocne, może wygrać z Nitrasem. W światku międzynarodowych działaczy sportowych kolesiostwo jest wielką siłą.

Sławomir Nitras, człowiek – co widać już na pierwszy rzut oka – bardzo sympatyczny, w sporcie wyczynowym jest jednak ciałem obcym. Tak się złożyło, że podczas długiego weekendu byłem kilka dni w Spale, miejscowości ściśle związanej ze sportem. Wieczory spędzaliśmy na tarasie, gawędząc często do północy. W towarzystwie było kilka osób przez lata związanych z wyczynem. Tak naprawdę nikt Nitrasa nie znał ani nie słyszał o jego dokonaniach. Powinien więc, moim zdaniem, mniej krzyczeć, dobrze rozpoznać trudne środowisko, zbudować swoje poparcie w klubach i w związkach. Jeśli tego nie zrobi, jego wojna z PKOl rozłoży do końca nasz sport wyczynowy, który i tak już ledwie zipie.

Ministerstwo Sportu ma dużą siłę, z której Nitras zresztą zdaje sobie sprawę. Może zakręcić kurek z państwowymi pieniędzmi. Czy od tego cokolwiek się poprawi? Czy zrodzą się młode talenty, czy wyczynowcy będą zdobywać medale? Owszem, można wywierać nacisk na związki, zwłaszcza te fatalnie działające, ale takt i ostrożność są moim zdaniem konieczne. Przede wszystkim trzeba zbudować mądry system, który pozwoliłby na wyszukiwanie najzdolniejszych dzieci, a później prowadzenie ich aż do olimpijskiego poziomu. Można – tak jak Węgrzy – skupić się na kilku tzw. medalodajnych dyscyplinach, a pozostałe potraktować lekko, czyli tak jak u nas prawie wszystkie.

Co robić?

Podczas naszych wieczornych spotkań w Spale słyszałem od znajomych znających temat, że związki sportowe są bez winy. To nieprawda – próbowałem polemizować. Weźmy związek kolarski, który nie może nic zrobić, bo nie ma pieniędzy, a tor w Pruszkowie opieczętował komornik. Daria Pikulik, która ostatniego dnia paryskich igrzysk zdobyła na torze srebrny medal w najtrudniejszej chyba konkurencji omnium, jest szosową zawodniczką zawodowej grupy Human Powered Health. Od grupy dostaje wszystko. PZKol nie potrafił nawet zapewnić jej odpowiedniego stroju. Kostium kolarski – jak to bywa w wyczynie – nie jest zwykłą koszulką, którą można kupić w Lidlu albo w Biedronce. Szyty jest z różnych materiałów, tak aby zapewnić minimalny opór powietrza. O rowerze nawet nie ma co mówić. Rower torowy dostała w kwietniu, a kostium w przeddzień startu. Dlaczego tak późno? Bo działacze kupili stroje dla torowców, które nie miały homologacji. W pośpiechu załatwiano prawidłowe, ale na przymiarki już nie było czasu. Dekolt wpijał się zawodniczce w szyję, dusił ją i w takich warunkach zdołała po znakomitej walce zdobyć srebrny medal.

Niechaj medalem Darii Pikulik nie chwali się ani Piesiewicz, ani Nitras, ani prezes PZKol (nawet nie wiem, jak się nazywa). Sama zawodniczka, fajna, szczera kobieta, powiedziała wprost, że dla polskich kolarek i kolarzy ma jedną radę. – Wyjeżdżajcie z Polski jak ja, tutaj niczego nie osiągniecie – zaapelowała.

Teraz przyjrzyjmy się Polskiemu Związkowi Piłki Siatkowej. W igrzyskach sukces: srebrny medal. Co prawda niektórzy liczyli na złoty, ale nie wiedzieli, że w trakcie turnieju nękać będą zawodników kontuzje. Siatkarki medalu nie zdobyły, ale w Paryżu awansowały do ćwierćfinału, a jeszcze trzy lata temu lanie spuszczał im, kto tylko chciał.

Co ważne, i za reprezentacyjnymi siatkarzami i siatkarkami idzie uzdolniona młodzież. O przyszłość można być spokojnym.

W trakcie trwania igrzysk siatkarze i siatkarki mieli wszystko, czego potrzebowali. Ponieważ sala do treningów znajdowała się daleko od wioski olimpijskiej, związek (a nie PKOl) wynajął halę sportową w pobliżu i do wyłącznego użytku. PKOl za ciężkie miliony zorganizował natomiast w Paryżu Dom Polski, który świadczyć miał o potędze naszego sportu i przy okazji kraju, a w którym Piesiewicz dumnie pozował do zdjęć, dopóki nie okazało się, że z tym całym występem ponad 200-osobowej ekipy jest jedna wielka dupa.

Z siatkarzami i ich koleżankami pojechała grupa lekarzy i fizjoterapeutów, którzy nie mieli pretensji o to, że zakwaterowano ich w domu pielgrzyma, a nie w luksusowym hotelu, gdzie mieszkali działacze.

W siatkówce wszystko działa w określonym systemie. Zarówno trener siatkarek Stefano Lavarini, jak i siatkarzy Nikola Grbić mają podpisane umowy do kolejnych igrzysk olimpijskich w Los Angeles. Naprawdę możemy o tę dyscyplinę być spokojni. O wszystko dba prezes Sebastian Świderski, najpierw świetny zawodnik, później trener, prezes klubowy, a teraz całego związku. On po prostu zna się na tym, co robi. A pomyśleć, że podczas zjazdu sprawozdawczo-wyborczego PZPS kontrkandydatem Świderskiego chciał być Ryszard Czarnecki. Gdzie dziś byłaby polska siatkówka?

Co robić? – pytali w swoich książkach rewolucjoniści Nikołaj Czernyszewski i Włodzimierz Lenin. Nie wiem, czy polskiemu sportowi potrzebna jest rewolucja. Ale gruntowne, systemowe zmiany na pewno.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Anna Skibniewska, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 21.08.2024 r.

eprasa.pl f1d56f4ada

ŚŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Mejl Elona Muska, prezesa Space Exploration Technologies Corporation, do Donalda Tuska, premiera Polski (fragmenty):

Odpowiadając na mejl od Pana z 12 sierpnia, uprzejmie informuję, że szacunkowy koszt załogowej wyprawy na Marsa wielokrotnie przekracza koszt zorganizowania letnich igrzysk olimpijskich. (…) Pisze Pan, że po roku 2040 Polska mogłaby sfinansować lot na Marsa, co zrobiłoby większe wrażenie na polskiej i międzynarodowej opinii publicznej niż igrzyska. Zgadzam się. Odbywająca się co cztery lata impreza sportowa, choćby najbardziej efektowna jak ta w Paryżu, nijak się ma do historycznego wydarzenia, jakim byłby załogowy lot na Marsa. Gdyby dziś Pan ogłosił, że Polska będzie organizatorem i sponsorem takiej podróży, to Pan i Pana partia mogłyby liczyć na zwycięstwo we wszystkich najbliższych wyborach. Rozumiem to, ale (…) mam dla Pana złą wiadomość: Polski na to nie stać. Moi współpracownicy ze SpaceX ostrożnie szacują, że koszt wyprawy na Marsa wyniesie około dwóch bilionów (tysięcy tysięcy milionów) dolarów w cenach z 2024 roku. Jak mnie poinformowano, budżet Polski wynosi w tym roku mniej niż sto miliardów (tysięcy milionów) dolarów. (…) Samo wyszkolenie trzyosobowej załogi kosmicznej może kosztować tyle, ile Polska i Ukraina wydały na organizację mistrzostw Europy w piłce nożnej (soccerze).

Jak zatem Pan widzi, będzie Pan musiał ogłosić rodakom, że wszystko, co Polska może zrobić doniosłego w ciągu najbliższych dwudziestu lat, to urządzić igrzyska olimpijskie. Nie muszę dodawać, że taka obietnica nie zagwarantuje Panu oczekiwanego sukcesu wyborczego, a to skłania mnie do sformułowania szerszej refleksji. Po co obiecywać wydarzenia, jakie mogły zorganizować takie kraje jak Rosja i Chiny? Czy nie lepiej poprzestać na zwykłych działaniach korzystnych dla społeczeństwa polskiego, a z zapowiedzią zorganizowania lotu ma Marsa poczekać na znaczną obniżkę cen, jeśli w ogóle do niej dojdzie? (…)

Serdecznie dziękuję za zaproszenie na mecz piłki nożnej (soccera) z udziałem Pana, Pana Nitrasa i uczniów szkoły podstawowej z Biłgoraja, niestety nawał obowiązków każe mi bardzo starannie wybierać wydarzenia, w których uczestniczę. Niemniej życzę zwycięstwa. Polska gola! Z wyrazami szacunku. Elon Musk.

Z angielskiego przełożył
PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN jest bardzo przejęta, że przyszło jej rozmawiać z redaktorzycą naczelną. Przynajmniej tak deklaruje, ale **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** sądzi, że profesora trochę się z niej nabija.

Senyszyn: – Gratulacje.

Wołk-Łaniewska: – A dziękuję. Choć ponoć należą mi się głównie za odwagę, bo śmiertelność na tym stanowisku jest wysoka. Niniejszym ogłaszam zatem, że mam zamiar trochę pożyć.

– To miało być moje następne pytanie.

– Tak się domyślałam.

– Skoro mamy to już z głowy, to przejdźmy do mniej radosnych tematów.

– A konkretnie?

– Do rządu. W koalicji tak się kłócą, że nie mają czasu pracować. Awantury są między ministerstwami, bo każde chce jak najwięcej kasy wyrwać dla swojego resortu…

– To akurat normalne. A nawet zgodne z misją ministerstwa.

– Z tą misją bywa różnie, bo wewnątrz każdego resortu żrą się międzypartyjnie.

– A to z kolei zgodne z misją koalicji.

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

– Rolnicy mówią, że chcieliby choć połowy wsparcia, jakie mieli za PiS. Wszystko się skrupi na PSL, które dołuje w sondażach jak nigdy dotąd. W najnowszym ma 1,67 proc. poparcia i bez Hołowni nie byłoby w sejmie. A Kosiniak-Kamysz marzy, żeby być premierem…

– Ten facet mnie zadziwia. Ma jakąś taką nieodpartą potrzebę, żeby obejmować stanowiska, do których nie ma kwalifikacji. Lekarz z krakowskiej patrycjuszowskiej rodziny na czele partii chłopskiej, doktor medycyny najpierw kierujący resortem pracy, a potem obrony. Czy „Tygrys" nie mógłby dla odmiany wziąć się za coś, na czym się zna? I nie mam tu na myśli kierowania rządem…

– To ponoć głównie ambicja jego ojca, który widziałby swojego syna na premierowskim stołku nawet za cenę koalicji PSL z PiS. Może dlatego minister obrony narodowej, zamiast zajmować się bezpieczeństwem Polski, wchodzi w buty PiS i plecie bzdury o wychowaniu patriotycznym w szkole.

– Ale to chyba arytmetycznie im się nie składa? PSL ma 32 posłów, PiS z Kukiz'15 – 194, razem 226. I to przy założeniu, że nikt z PSL nie da się uwieść Donaldowi i wszyscy pójdą za liderem, który sprowadził ich notowania do poziomu alkoholu w kefirze…

– Konfederacja ma 18 mandatów i chce wspólnego z PiS kandydata na prezydenta RP. Może za to by się sprzedała do rządu. Taka trójgłowa koalicja miałaby 244 posłów, więc nawet gdyby 13 peeselowców się postawiło, i tak dałoby radę sklecić większość. A wtedy znowu spółki skarbu państwa, wojewodowie i hulaj dusza, piekła nie ma.

– Ja akurat nie sądzę, żeby konfederaści byli gotowi sprzedać się Kaczyńskiemu. Nie dlatego, że są pryncypialni, ale dlatego, że są młodzi i aroganccy, i wierzą, że mogą poczekać, bo przyjdzie czas, kiedy to oni będą rozdawać karty…

– A ja sądzę, że PiS mógłby kupić Konfederację za prezydenturę. Kaczyńskiemu zależy tylko na szefowaniu partii. Jeśli na przełomie roku sprawdzą się pogłoski, że Tusk jednak wystartuje, to przy jego ogromnym negatywnym elektoracie kandydat Konfederacji wystawiony przez PiS z PSL miałby szanse może nawet w pierwszej turze. Zwłaszcza, gdyby Polska 2050 wystawiła Hołownię, a i czarzaści kogoś.

– No coś ty? Właśnie przy starcie Hołowni i kogoś z lewicy rozstrzygnięcie wyborów w pierwszej turze jest wykluczone. Jak głosy rozłożą się na czterech kandydatów, nie ma szans, żeby ktoś zdobył 50 proc.

– To już teoria gdybania. Sytuacja jest dynamiczna i handel będzie odchodził do ostatniej chwili. Nawiasem mówiąc, teraz wiadomo, czemu czarzaści dostali tak mało w spółkach skarbu państwa: bo nie mają ani kandydata na premiera, którego chciałby PiS, ani kandydata na prezydenta, który komukolwiek by zagroził. Nie mają też szabel w sejmie, bo ósemka jest z Razem, czyli efektywnie Czarzasty ma tylko 18 posłów.

– I gdyby z tą osiemnastką wyszedł z koalicji, wreszcie miałby wpływ na rządzenie. Wbrew histerycznym opowieściom tuskosekty, nie oznaczałoby to powrotu PiS do władzy, tylko rząd mniejszościowy, który musiałby się liczyć z lewicą i uwzględniać jej postulaty programowe…

– Ale to się nie stanie, bo jedyny programowy postulat czarzastych to stołki.

– Co się dziwisz? Dla ludzi, którzy nie mają żadnych osobistych ani zawodowych osiągnięć, stołek podsekretarza stanu jest szczytem życiowych marzeń. A skoro już jesteśmy przy szeroko pojętej lewicy: mój absolutny idol Bernie Sanders wystąpił na Konwencji Demokratów i ogłosił, że Ameryka *potrzebuje gospodarki, która pracuje dla nas wszystkich, nie tylko dla klasy miliarderów*. A po nim wystąpił gubernator Illinois J.B. Pritzker z tekstem: *Donald Trump twierdzi, że jest bardzo bogaty, ale uwierzcie prawdziwemu miliarderowi: Trump jest bogaty tylko w głupotę*. Pritzker jest bowiem dziedzicem fortuny opartej na własności sieci Hyatt. Osobiście dostrzegłam w tym pewien zgrzyt…

– Bo ty dyskryminujesz bogatych.

– Z dumą i entuzjazmem, choć dla niektórych robię wyjątek. Jak każdy dziedzic antysemita miał swojego Żyda, tak każdy lewak bogaczożerca ma kogoś, komu wybacza zamożność, moja nieoceniona przyjaciółko… Zmieniając temat: jakoś szalenie mnie ubawił fakt, że bard PiS-u Jan Pietrzak na trzeźwo dwa razy wjechał audi w budynek przychodni na Wilanowie…

– Dobrze, że zna już drogę, bo niedługo będzie potrzebował zaświadczenia, że jest zdolny do prowadzenia pojazdów. Ponoć był trzeźwy, choć od wielu lat stale wygląda na nawalonego i czepia się jak pijany płotu Jaruzelskiego i Kiszczaka. Widać bliżej mu do nieboszczyków niż do żywych. Zupełnie jak rządowi Tuska, który właśnie uznał, że najpilniejszą potrzebą emerytów i rencistów jest zasiłek pogrzebowy i łaskawie chce go podnieść z 4 tys. do 6,5–7 tys. zł, czyli wysokości, jaką miał, zanim go koalicja PO–PSL obniżyła o 40 proc.

– Dobrze to pamiętam, bo mój ojciec umarł w ostatnim dniu obowiązywania starego zasiłku, 28 lutego 2011 r. Dbał o nas do końca…

– Teraz Tusk wspólnie z ministrą dwojga nazwisk Dziemianowicz-Bąk jawnie pokazują, że stare prześmiewcze zawołanie do emerytów: „Popierajcie partię czynem, umierajcie przed terminem" ma finansowe poparcie nowej władzy. Naprawdę zasiłek pogrzebowy jest wsparciem dla rodziny nieboszczyka, który przecież nie zobaczy, czy ma pogrzeb droższy, czy tańszy. Jego podnoszenie akurat teraz ma odwrócić uwagę od wzrostu cen prądu, gazu i rosnącej inflacji. Emeryci zapłacą za zasiłek, z którego nie skorzystają, obniżeniem tzw. 14. emerytury, która wyniesie 1781 zł brutto, czyli o prawie 900 zł mniej niż rok temu.

– Co dowali zwłaszcza emerytkom. Biorąc pod uwagę, że 64 proc. kobiet ma emeryturę poniżej 3 tys. zł netto – 900 zł to kupa szmalu.

– Więcej, niż kosztował uczestnika czterodniowy pobyt z wyżywieniem na corocznym zlocie ateistów.

– Cudnie było, prawda?

– Rewelacyjnie. 70 osób, z których część nie widziała się od roku, a do tego nowe twarze, a – jak wiadomo – świeża krew zawsze dobrze robi wszystkim gremiom. Może dlatego rząd rozczarowuje, bo tam głównie stara gwardia.

– A jak się trafi jakaś nowa twarz, to zawsze jest to królik z Tuskowego kapelusza.

– Tak źle i tak niedobrze.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA ODC. 311

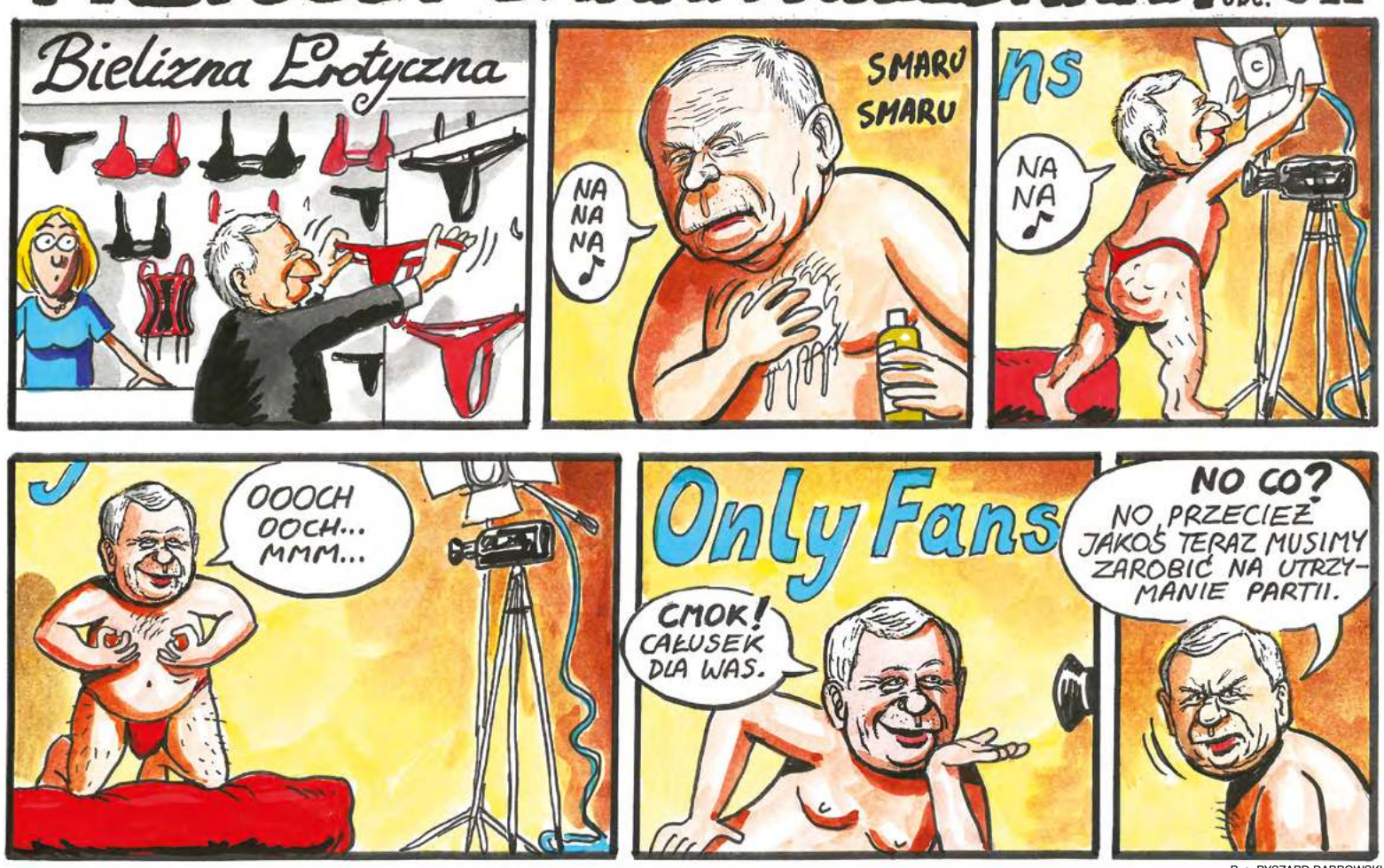

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl f1d56f4ada